POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 23-go sierpnia 1941r.*** **Rok III. Nr. 34**

THE CHARTER OF THE ATLANTIC

Deklaracja anglo-amerykańska, która zyskała sobie w prasie brytyjskiej miano "*Magna Charta Atlantyku*" /The Charter of the Atlantic/, jest wydarzeniem, nad którym warto się zastanowić spokojnie i trzeźwo. Niesie ona bowiem wnioski ważne dla całej Europy, oznacza bowiem, że krystalizują się w polityce anglosaskiej pewne myśli i że współpraca anglo-amerykańska nie będzie koniunkturą wojenną, ale rzeczywistością dzisiaj i jutra. Publicysta polski musi zatem wziąć na warsztat dokument Churchill-Roosevelt i zbadać go w świetle *rozwagi* i *szczerości*.

Naprzód wnioski same niejako się narzucające, unoszące się na powierzchni. A zatem: spotkanie Churchill-Roosevelt dochodzi do skutku na życiowym szlaku na wielkiej arterii Imperium Brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych Atlantyku. Na tej to właśnie *life-line* obu mocarstw spotykają się przedstawiciele narodów anglosaskich. Jest to niejako demonstracja, że tej właśnie *life-line* zdecydowane są oba państwa bronić za wszelką cenę i zawsze;—ona bowiem, podobnie jak szlaki siedmiu mórz, których swoboda jest zasadniczym warunkiem życia i rozwoju *British Empire* i *USA*, łączy oba człony anglosaskie.

Drugi wniosek jest równie oczywisty: Stany Zjednoczone chociaż formalnie pozostające poza wojną, planują politykę wojny i pokoju z państwem wojującym, Anglią. Są zatem dzisiaj niemalże *aliantem W. Brytanii*, są sojusznikiem (z zastrzeżeniami) nie tylko na okres zmagań wojennych ale i w okresie budowania *jutra*. Jest to fakt niezmiernej doniosłości, jeżeli przypomnimy sobie, że usunięcie się Stanów z Europy powersalskiej, przyczyniło się walnie do załamania się gmachu Ligi Narodów, do rozzuchwalenia się totalizmów i do rozprzężenia Europy.

Związanie się Anglii z Ameryką postępuje co raz dalej: jest to konieczność, która zarysowała się dla uważniej patrzących przed rokiem z górą. W dobie upadku Francji było rzeczą jasną, że W. Brytania wygrać potrafi wojnę i pokój tylko w całkowitym oparciu o Stany Zjednoczone. Odpowiedzialność za tworzenie pokoju będzie może nawet większa po drugiej stronie Atlantyku, aniżeli po stronie Anglii: na ośm punktów "Wielkiej Karty Atlantyku" sześć bodaj wyszło z natchnienia amerykańskiego. tylko dwa z natchnienia brytyjskiego.

* * *

Ma to na prawdę doniosłe znaczenie dla Europy, która będzie *urządzana* przez narody anglosaskie. Urządzana przez narody praktyczne, narody, dla których czynniki natury *gospodarczej* są nieraz decydujące,—przez narody, które nie mogą mieć, ze względów zupełnie zrozumiałych, pełnego odczucia dla złożonej mozaiki stosunków europejskich. Te dwa narody znajdują dzisiaj oparcie w trzecim wielkim członie—Rosji sowieckiej. Innymi słowy: jesteśmy w koniunkturze wielkich całości, planowania *w wielkich rzutach*. Trójkąt anglo-amerykańsko-sowiecki może się zmienić w czworobok: Londyn-Waszyngton-Czungking, jeżeli Tokio ruszy do wojny. Będzie to dobranie jeszcze jednego partnera o niezmierzonych obszarach: *Chin*.

Dla narodów, które *nie posiadają atutu obszaru i przestrzeni* pojawia się tym wyraźniej nakaz śledzenia tego przetargu, który może zadecydować o losie nas wszystkich nie zawsze tak, jakbyśmy tego chcieli. Zarysowuje się możliwość, że organizacja przyszłego świata będzie pewnego rodzaju grą o f i a r i wyrównań, odebrania pewnych przywilejów w jednych a dodanie pewnych korzyści w innych punktach. A zatem: dostępem do surowców i handlu świata będzie się może wynagradzać ofiary w terytoriach, ziemiach, granicach.

* * *

Deklaracja anglo-amerykańska nie głosi powrotu do stanu poprzedniego nie gwarantuje żadnych granic nikomu. Jeżeli przypomnimy sobie, że rząd Chamberlaina niejednokrotnie wspominał o powrocie do *status quo* i o przywróceniu wolności pognębionym jako ostatecznej ambicji i celu wojny—to zrozumiemy, że droga odbyta od tego czasu jest długa. Postęp ten i zmiana zaszły niewątpliwie pod wpływem amerykańskim.

Magna Charta Atlantyku chciała by stworzyć pewnego rodzaju nowe podstawy, nową wolę, nowe zrozumienie dla świata przyszłości. Podczas gdy deklaracja Wilsona mówiła o częściach, państwach, określała nawet granice—deklaracja atlantycka przemilcza celowo sprawę granic, nie mówi o tym, co może różnić czy zaogniać. Wysuwa zatem tezy kompromisu, tezy pewnego pogodzenia, wnioski wspólnej korzyści: stara się położyć tłumik na uczucia narodowe, na patriotyzmy. Nie mówi o jakichś reparacjach, odpłacie Rzeszy, karze za grzechy. Przeciwnie—daje do zrozumienia, że nikt nie powinien sobie życzyć zawalenia się gospodarczego Rzeszy i że Niemcy nie mogą być potraktowane bezwzględnie. Deklaracja atlantycka idzie jeszcze dalej: mówi o walce z "*Hitlerite Germany*," Rzeszą hitlerowską, co skierowało na nią ataki pewnych odłamów prasy angielskiej. I tak n.p. "*Daily Mail*" i "*Sunday Times*" zwracają uwagę na fakt, że zwrot użyty nie jest szczęśliwy, albowiem chodzi tu nie o rozprawę z Rzeszą Hitlera tylko, ale z pewnym systemem militarnym. Ten system trzeba złamać.

Uwagi te są słuszne, ale jeżeli *Magna Charta Atlantyku* użyła właśnie tego a nie innego zwrotu to nie tylko dlatego, ażeby nie przestraszyć niejako Niemców /co by spowodowało stężenie ich oporu wewnętrznego, podczas gdy obietnice rozhartowują niejako ludność Rzeszy/, czy wyświadczyć grzeczność Rosji sowieckiej, która trzyma się z uporem zwrotu o Rzeszy "hitlerowskiej." Chodzi także o to, że państwo o myśleniu ekonomicznym, jakim są Stany, istotnie nie chcą zniszczenia *gospodarczego* Rzeszy. W tym wypadku teza ta znajduje poparcie u doskonale pracującego zespołu emigrantów niemieckich, którzy i w Anglii mają swoje wpływy i chody, a w Ameryce należą do osób nader wpływowych w otoczeniu samego prezydenta. Ameryka, wysuwając taki plan zapoznaje fakt, że silne gospodarczo Niemcy pozostają ośrodkiem potencjalnego niebezpieczeństwa dla Europy: potęga wojskowa wspiera się na potędze gospodarczej.

Na Ocenie Atlantyckim zapadła decyzja wciągnięcia Rosji do rozmów sztabowych i politycznych, czyli do stworzenia bloku—na dzisiaj i na jutro. Prasa brytyjska ma rację skoro pisze, że jeżeli na Atlantyku zapadły uchwały "na daleki dystans," to dlatego, że nie przewiduje się szybkiego załamania Rzeszy, ale raczej długą wojnę, a równocześnie wierzy się w możność trwania kampanii w Rosji do wiosny 1942. Innymi słowy: chodzi tu o stworzenie frontu w Azji; wojna obecna może się zadecydować nie w Europie, ale *w Azji*.

Jasne jest, że Roosevelt i Churchill, wciągając Rosję w orbitę narodów anglosaskich, myślą nie tylko o Rosji dzisiaj, Rosji bolszewickiej, ale o R o s j i jako takiej. *British Empire* i *USA* doszły do wniosku, że muszą się wesprzeć na Rosji—takiej czy innej. Dlatego chcą tę Rosję mieć przy sobie, między sobą—w przekonaniu, że lepiej mieć ją na oku, opanowywać swoimi wpływami, aniżeli pozwolić na jej trzymanie się na boku, rośnięcie na dziko. Jest w tym wszystkim myśl pedagogiczna, wychowawcza niemałego znaczenia.

* * *

Deklaracja Wilsona przynosiła hasła narodowe, budziła wolnościowe myśli, odruchy, nadzieje. Deklaracja anglo-amerykańska odsuwa te czynniki. Hasła narodowe ustępują miejsca hasłom ekonomicznym, zasadom dobrobytu, gospodarki. Pozostaje z myśli Wilsona samostanowienie narodów, ale w rozumieniu węższym—jako możliwość plebiscytów na ziemiach spornych.

British Empire i *USA*, wielkie człony, które poddały swoje organizacje i struktury—myśli gospodarczej, więzi korzyści, tradycji, wspólnej kultury, proponują Europie poniechanie pogoni za hasłami nacjonalizmu. Oba państwa najwyraźniej idą na tworzenie Europy *gospodarczej*, gdzie wielkie, by tak rzec, masy i obszary ekonomiczne, będą miały z natury rzeczy więcej do powiedzenia, aniżeli mniejsze całości gospodarcze.

Naturalnie, wszystko to, co zostało powiedziane w *Magna Charta Atlantyku* zależne jest od wypadków; porażki sowieckie na froncie będą automatycznie niejako osłabiały ciążar trzeciego partnera w wielkim stylu—Rosji bolszewickiej. Nie znaczy to jednak, ażeby usunęły myśl, że *Rosja* musi należeć do zespołu czynników decydujących. Oczywiście, wiele z konstytucji atlantyckiej zmieni się, przedzierzgnie, ale nie można powiedzieć, by była ona pisana na wodzie. Ukazuje ona pewne kierunkowe, do których nam, Polakom, będzie się szczególnie ciężko nałamać.

Trzeba mieć oczy otwarte i nie wolno chować głowy w piasek. W artykule "Cenne ostrzeżenie" w nr. "Polski Walczącej" z dnia 16-ego sierpnia p. Michał Prozor zupełnie słusznie powiedział, że nie wszystko w Anglii dzieje się tak w odniesieniu do Polski, jakbyśmy tego chcieli. Powiedzmy sobie jasno i dobitnie: nie możemy pozwolić sobie na to, ażeby zostać zaskoczeni pochodem myśli, która przeziera wyraźnie z *The Charter of the Atlantic*. Musimy ją przeniknąć badaniem, postawić nasze tezy—myśl zjednoczenia państw od Bałtyku po Morze Czarne i Adriatyk, wielki człon między Rzeszą a Rosją. Tylko bowiem myślenie, rzutowanie i wykonanie planu w wielkiej skali uratuje nas od zaskoczenia rozwiązaniem, które nie będzie po myśli żadnego państwa wschodu Europy. Musimy już dzisiaj stworzyć plan, całość, realne warunki pogodzenia interesów na obszarze od Bałtyku po Adriatyk. Musimy już dzisiaj planować ten człon Europy pod kątem widzenia ekonomii, która prawdopodobnie zaciąży nad *całym* rozwiązaniem powojennym.

Być może, że stoimy na istotnym zakręcie dziejów, w dobie nowego średniowiecza, poddania narodów pewnym myślom, ideom, liniom kierunkowym. Nie możemy się karmić złudzeniami, że wrócimy do świata wczoraj. Musimy się przygotować na nowe hasła, musimy w y c h o w a ć nasze społeczeństwo w tych myślach.

Niezrozumienie wymowy czasu mści się najokrutniej.

Antoni Jawnuta



rysował Marian Walentynowicz

Gospodarcze motywy Stanów Zjednoczonych

Ze zrozumiałym, troskliwym zainteresowaniem śledzimy rozwój polityki Stanów Zjednoczonych w kierunku przeciwniemieckim. Przyczyn tego rozwoju dopatrujemy się zwykle w dziedzinie strategii lub ideologii politycznej. Co raz dalszy zasięg lotnictwa i raidy niemieckiej floty wojennej, na równi z rozkładową działalnością piątej kolumny, zwiększają w społeczeństwie Stanów poczucie zagrożenia ze strony totalizmów, do których równocześnie społeczeństwo to niewątpliwą ma odrazę.

Czy uczucie to, wynikające z głębokiej sprzeczności między demokracją północno-amerykańską a dyktaturami osi, wystarcza dla wszczęcia wojny i czy byłaby to wojna ideologiczna? Czy sama możliwość nadciągnięcia znienawidzonej wojny nad wybrzeża amerykańskie przekona Stany o konieczności wyjścia tej wojnie na przeciw?

Wątpię, by odpowiedź na te pytania mogła wypaść twierdząco. Historia dawniejsza i nowsza dostarcza przykładów nie najgorszego współżycia państw o różnych ustrojach. Dowodzi również, że społeczeństwa zamiłowane w pokoju i dobrobycie wykazują aż nadto wstrzemięźliwość w podejmowaniu wojen prewencyjnych, zapobiegawczych, najbardziej nawet strategicznie uzasadnionych. Z pewnością nie są to zatem motywy dostatecznie ważkie dla zadecydowania o tych choćby posunięciach Stanów, których od pewnego czasu jesteśmy świadkami.

Czy nie działają tu więc inne jeszcze motywy, mniej podkreślane ale nie mniej istotne?

Jako Polacy, przyzwyczajeni jesteśmy względy gospodarcze stawiać na dalszym planie wśród pobudek naszego postępowania. W położeniu naszego kraju, gdy każdy poważniejszy konflikt zewnętrzny jest równocześnie zagrożeniem naszej niepodległości i egzystencji, troska o utrzymanie wartości najistotniejszych narzuca polityce państwa wybór dróg, mało istotnie pozostawiając miejsca względom na większą czy mniejszą korzyść gospodarczą. Błędem jednak byłoby stosowanie tego samego sposobu myślenia do polityki Stanów Zjednoczonych, rozwijającego się w warunkach bez porównania mniej dramatycznych.

W artykule tym chodzi o podkreślenie, mało stosunkowo w poglądach polskich omawianych względów gospodarczych, jakimi muszą się powodować Stany w obliczu obecnego konfliktu.

STANY ZJEDNOCZONE A GOSPODARKA TOTALISTYCZNA.

Już przed rokiem Walter Lipmann, omawiając na łamach "Life" gospodarcze następstwa zwycięstwa niemieckiego, zwrócił uwagę na fakt, że w razie pokonania W. Brytanii trzy spośród czterech wielkich samodzielnych okręgów wytwórczych, jakie stanowią St. Zjednoczone, Europa, Rosja Sowiecka i Japonia, znajdą się w rękach państw rządzonych totalistycznie. W ciągu ub. roku nic się w tym obrazie nie zmieniło a raczej nawet zaostrzyły się jeszcze jego kontury przez co raz kompletniejsze podporządkowanie kontynentu europejskiego Niemcom.

Oznacza to, że Stany Zjednoczone, jako ostatni bastion gospodarki mniej więcej swobodnej, wolnej, znajdą się twarzą w twarz wobec trzech zespołów, podlegających jednolitym ośrodkom kierowniczym i całkowitej reglamentacji, w których wywóz i przywóz stanowią powolny instrument rządów absolutnych a praca w znacznej mierze ma charakter przymusowy.

Nie potrzeba długich rozważań ani głębokiej znajomości spraw gospodarczych dla zrozumienia, że takiej konkurencji ani przemysł ani rolnictwo Stanów Zjednoczonych wytrzymać nie zdołają. Zetknięcie się gospodarstwa o szerokim zakresie wolnej konkurencji wewnętrznej, opartego na wysokich płacach pracowników, z gospodarką olbrzymich zespołów monopolistycznych, których wytwórczością rozporządzają rządy nieobciążone troską o dobrobyt ani zysk swych poddanych, musi nieuchronnie skończyć się całkowitym załamaniem się gospodarstwa wolnego.

Zapatrzeni w zasoby naturalne i potęgę rozwoju gospodarczego Stanów, zupełnie fałszywie nieraz rozumiemy samowystarczalność tego kraju, zapominając w jakim stopniu jest on zależny od wymiany z resztą świata.

WYMIANA GOSPODARCZA STANÓW

Biorąc za podstawę cyfry z r. 1938, t.j. ostatniego pełnego roku przedwojennego, można stwierdzić, że wymiana towarowa Stanów Zjedn. z poszczególnymi grupami państw była następująca:

	przywóz	wywóz
z Europą /bez Rosji/	29%	42%
z Azją /bez Rosji/	30%	17%
z Ameryką łacińską /bez Argentyny, Chile, Boliwii, Urugwaju i Paragwaju/	20%	15%
z Kanadą	13%	16%
z pozost. krajami Ameryki łać.	4%	4%
z Afryką	3%	4%
z Rosją	1%	2%

Dwa naczelne miejsca w handlu zagranicznym Stanów zajmują zatem kontynenty europejski i azjatycki, t.j. te właśnie obszary, które w razie zwycięstwa osi dostałyby się pod władanie totalistycznych Niemiec i totalistycznej Japonii. Z tych dwu kontynentów więc, do których wkrótce niewątpliwie dołączyłby się także kontynent afrykański, handel Stanów Zjednoczonych mógłby zostać wypchnięty względnie dopuszczono by go tylko w rozmiarach nader ograniczonych i podyktowanych każdorazowo przez centrale zdobywców.

Zbadajmy jednak, dla wyczerpania zagadnienia, czy i w jakim stopniu Stany Zjedn. mogłyby dla tych strat swego handlu znaleść wyrównanie na własnym kontynencie. Przypuśćmy na chwilę, że Stany pozbawione, w wyniku zwycięstwa osi, możliwości wymiany z pozostałymi kontynentami— Australię można tu pominąć, jako nie odgrywającą większej roli a zresztą też zagrożoną—zapewniają sobie ze swej strony monopol handlu z obu Amerykami, skąd wykluczyły obcą konkurencję.

MOŻLIWOŚCI WYRÓWNANIA

Jeżeli chodzi o przywóz Stanów, rozpatrywany wyłącznie ilościowo, możliwości takie wydają się istnieć. Dotychczasowy import zamorski Stanów o wartości łącznej przeszło 1,200 milj. dolarów mógłby na pozór znaleść rekompensatę w wywozie pozostałych krajów amerykańskich, który dotychczas w wartości przeszło 1,400 milj. rocznie kierował się do innych kontynentów. Już jednak najogólniejszy nawet przegląd rodzaju przywożonych przez Stany towarów wykazuje złudność tego rodzaju obliczeń. Kauczuk, cyna i jedwab surowy stanowiące trzy podstawowe składniki tego przywozu, przychodzą z Indii Holenderskich, półwyspu malajskiego względnie z Chin i Japonii; kraje amerykańskie surowców tych nie posiadają bądź wcale bądź w dostatecznej ilości. Już ten przykład wskazuje, że potrzeby przywozowe Stanów w ramach obu nawet Ameryk zaspokojone być nie mogą.

Jaskrawiej przedstawia się sprawa z wywozem. W r. 1938 wartość wywozu Stanów do poszczególnych obszarów wynosiła:

	milj. dolarów
Europa /bez Rosji/	1,270
Azja "	520
Afryka	120
Rosja	70
łącznie	1,980

Na pokrycie tej luki Stany mogłyby zyskać /teoretycznie/ dotychczasowy przywóz.

	milj. dolarów
Kanady, wartości	205
Ameryki " łacińskiej /całej/	695
łącznie	900

W tym wypadku zatem już czysto ilościowe zestawienia zysków i strat, związanych z tą zmianą kierunków handlu Stanów Zjedn. wykazuje ubytek w wysokości ponad 1 milion dol. t.j. przeszło połowy dotychczas wywożonych dóbr, dla których Stany nie znalazłyby już odbiorców. Łatwo wyobrazić sobie wstrząs związany z utratą rynków w tych rozmiarach, pociągający za sobą zamknięcie szeregu zakładów, wzrost bezrobocia, ruinę bankowości i finansów.

Porównanie rodzaju dóbr wywożonych przez Stany z rodzajem dóbr jaki mogą wchłonąć pozostałe rynki amerykańskie uwypukla jeszcze rozmiary katastrofy, jaka musiałaby nastąpić. Przytoczone, dla ilustracji, czysto arytmetyczne obliczenia chłonności odnośnych rynków bynajmniej bowiem nie wyczerpują istoty zagadnienia, leżącej w tym, że Stany Zjednoczone wprawdzie uzupełniają się do pewnego stopnia z organizmami gospodarczymi Kanady i Ameryki równikowej, jako krajów surowcowych o innym niż Stany klimacie, nie uzupełniają się natomiast w takim stopniu z krajami Ameryki południowej leżącymi w klimacie umiarkowanym. Ta część Ameryki płd. już dzięki swej budowie gospodarczej ciąży do innych kontynentów. Tłomaczy nam to, dlaczego do czasów przedwojennych tylko niecałe 20% wymiany pięciu państw południowej części Ameryki płd. kierowało się do Stanów, podczas gdy blisko 80% kierowało się do Europy.

Ameryka płd., podobnie jak nie jest w stanie wchłonąć eksportu północno amerykańskich maszyn i samochodów, podobnie nie jest też w stanie sprzedać nadwyżki swego mięsa, pszenicy, wełny i miedzi Stanom, które produkty te po części same mają w nadmiarze.

Jako ilustracja mogą tu posłużyć stosunki handlowe Stanów z Argentyną, które mimo obustronnych usiłowań, obejmujących nawet znaczne ułatwienia kredytowe ze strony Stanów, napotykają na stałe, naturalne przeszkody. Pewne ożywienie, notowane w ostatnich miesiącach, ma charakter najzupełniej przejściowy i wiąże się z programem zbrojeniowym Stanów i zwiększonym zapotrzebowaniem żywności dla wojska, zwłaszcza odnośnie oddziałów stacjonowanych w Indiach Zachodnich.

NIE MA ODOSOBNIENIA GOSPODARCZEGO

Tak więc, czynniki odpowiedzialne za stanowisko Stanów Zjednoczonych stoją w obliczu sytuacji dosyć jasnej pod względem gospodarczym.

Zwycięstwo osi wypchnęło by Stany z dotychczasowych głównych rynków, względnie zmusiło by je do konkurencji wśród warunków, których produkcja Stanów nie wytrzyma bez popadnięcia ze swej strony w głębokie wstrząsy i przemiany, pociągające za sobą nieuchronnie zubożenie wewnętrzne i obniżenie dotychczasowej stopy życiowej.

Jakiekolwiek ograniczenie się do rynków wewnętrznych lub amerykańskich nie wchodzi w rachubę. Stany nie są przede wszystkim organizmem samowystarczalnym gospodarczo. Nie są nim nie tylko dlatego, że brak im kilku podstawowych surowców, ale dlatego, że Stany zdołają wprawdzie wyżywić własnych obywateli, ale nie zdołają im zapewnić zarobków bez utrzymania dotychczasowego wywozu. Kraj o największym w świecie potencjale przemysłowym, skazany jest, pod groźbą uduszenia się we własnej wytwórczości, na utrzymanie ekspansji eksportowej, której zawdzięcza swój wspaniały rozwój.

Możliwości zastąpienia rynków zaoceanicznych pełną ekspansją w ramach kontynentu amerykańskiego są wielce ograniczone, zarówno z powodu mniejszej chłonności tego terenu, jak i z uwagi na fakt, że znaczna część tego kontynentu ze Stanami nie uzupełnia się, lecz konkuruje gospodarczo. Nie ma zatem warunków dla pełnej, dwustronnej realizacji jakiejś gospodarczej doktryny Monroego, hasła: "Ameryka dla Amerykanów." Nie ma warunków dla odosobnienia gospodarczego Stanów.

Czy mogą więc być warunki dla odosobnienia politycznego? Czy decyzje polityczne mogą oderwać się do tego stopnia od przesłanek gospodarczych?

Spopularyzowany przez Druckera zwrot o skończeniu się "człowieka gospodarczego" nie oznacza bynajmniej końca gospodarczego państwa. Raczej przeciwnie. Państwo, im więcej wkracza w życie gospodarcze swych obywateli, tym bardziej obciąża się odpowiedzialnością za zapewnienie im egzystencji.

I dlatego Stany Zjednoczone muszą dążyć do złamania "osi," a nie tylko do zatrzymania, względnie uniemożliwienia jej pochodu.

Gustaw Gazda

Szkic sytuacyjny

SPOTKANIE NA ATLANTYKU

Spotkanie Churchill-Roosevelt góruje nad wypadkami ostatnich dni. Wydana przez nich deklaracja, nazwana przez pisma "*konstytucją atlantycką*" /*Atlantic Charter*/, jest niewątpliwie stylizowana na historycznym oświadczeniu prezydenta Wilsona.

Atlantic Charter posiada 8 punktów, podczas gdy deklaracja Wilsona miała ich 14. Wilson dawał nietyle wytyczne, ile praktyczne, *realne* żądania, wnioski—Atlantic Charter ogranicza się *do wielkich kierunkowych.*

Oczywiście, nie sposób ocenić dzisiaj jak się ta konstytucja nowego świata zachowa *w realnych warunkach powojennych.* Miejmy nadzieję, że na jej podstawie da się stworzyć wiele cennych budowli: w chwili obecnej posiada ona znaczenie *propagandowe,* rzuca ona w świat zawołania, których tak było potrzeba. Proponuje ona nie tyle może powrót do stanu poprzedniego, ile *rozwiązanie ekonomiczne.*

Jest to rozwiązanie, które nie wszędzie pokrywa się z ambicjami narodów. Ale też zrozumieć musimy, że w danej chwili nie można by jeszcze formułować sprawy granic—albowiem jest to sprawa, która raczej dzieli narody aniżeli je łączy, a deklaracja tego typu musi unikać wszelkiego rodzaju kwestii spornych.

Nie tylko jednak ta dekoracja ma wagę—ważne jest to, że Ameryka uzgadnia z Anglią wielki plan kampanii na dzisiaj i jutro. Montuje się napewno już dzisiaj *front azjatycki*: Rosja została zaproszona do narad trzech mocarstw. Stoimy zatem w przededniu tworzenia się frontu, który ustali się niewiadomo jeszcze gdzie, ale niewątpliwie ustalić się musi.

Azja w najbliższej przyszłości będzie widownią doniosłych a rozległych posunięć.

FRONT WSCHODNI

Działania na froncie wschodnim znajdują się dalej w fazie, w której wszelkie sądy mogą okazać się przedwczesne. Wydaje się jednak, że w głównej linii i zarysie sytuacja przedstawia się tak oto: Niemcy, wiążąc dalej gros sił sowieckich w okolicach Leningradu i Moskwy, wzmagają nacisk na *Kijów* i *Odessę.* Te dwa punkty są dzisiaj zagrożone.

Jaki zatem plan posiadają obecnie Niemcy? Czy oznacza to, że Rzesza od początku chciała przeć na południe w stronę ośrodków przemysłu wojennego Sowietów, ku basenowi Donu, Kaukazowi a cały manewr w stronę Moskwy był tylko "dymną zasłoną"; czy też raczej przekonawszy się, że droga do Moskwy i Leningradu jest zbyt mocno broniona, postanowiła dokonać przesunięcia centrum ataku?

Trudno powiedzieć w tej mierze coś pewnego. To jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w wojnie obecnej zmiana punktów ataku jest o wiele szybsza, że dzięki *płynności* frontu szybko wykrystalizowują się z mgławic ruchów kierunki nowych ataków.

Postępy niemieckie na Ukrainie są oczywiście poważne i prasa angielska nie zamierza zatajać przed społeczeństwem brytyjskim, że tak jest. Parcie niemieckie idzie w kierunku Donu. Już obecnie armia niemiecka panuje nad obszarem, który daje 60 procent stali sowieckiej. Ale stali Rzesza ma dosyć—nie trzeba jej stali ale żywności, ale *ropy.* Dlatego też trzeba się liczyć z wyścigiem ku ropie kaukazkiej.

Tu jednak rachuby niemieckie muszą napotkać na opór sojusznika Rosji—*W. Brytanii.*

JAPONIA CZEKA?

Stanowisko Japonii jest stanowiskiem zaczajonego szakala. Japonia czeka najwidoczniej na załamanie się oporu—przynajmniej zorganizowanego oporu—w Rosji. Jej poruszenia dotychczasowe noszą wszelkie cechy "wymacywania," jak daleko możną się posunąć *bezkarnie.* Ponieważ Stany Zjd. i Anglia postawiły sprzeciw w sprawie Sjamu, więc Japonia musi starać się przeprowadzać inne manewry. Kieruje zatem poważne siły na pogranicze Mandżuko. Próbuje zastraszyć Indie Holenderskie. Ogłasza mobilizację.

Wątpić jednak należy, aby Japonia ruszyła przed wytworzeniem się sytuacji wysoce korzystnej dla ataku. Wiele wskazuje na to, że jednak uderzenie na Władywostok marzy się Japonii najbardziej. Przez uderzenie na ten port—ale drogą lądową—usuwa Japonia groźbę bombardowania wyspy z bazy władywostockiej. Samoloty są jednak *szybsze,* aniżeli armia lądowa.

Czy ruch wojsk japońskich będzie dosyć szybki, ażeby uniemożliwić poderwanie się bombowców sowieckich do ataku na Japonię i związanie ich w operacjach lądowych?

PERSJA

Sowiety zawarły nowy układ z Persją /Iranem/, Anglia dała ostrzeżenie temu krajowi, ażeby nie użyczał nadmiernej gościny "*turystom*" niemieckim. Wydaje się, że te dwa kroki stanowią wstęp do akcji w Persji; przemaszerowanie przez Persję zmotoryzowanych oddziałów brytyjskich w stronę Kaukazu nie byłoby zadaniem ciężkim. Kaukaz, w razie rozszerzania się ataku niemieckiego od Chersonia, musi być pilnie strzeżony.

Anglia rozumie , że *ropa kaukaska* nie może się w żadnym wypadku dostać w ręce niemieckie.

DESANT BRYTYJSKI NA PÓŁNOCY?

Pisma angielskie roztrząsają sprawę wylądowania wojsk brytyjskich na północym cyplu Norwegii albo w okolicach *Murmańska.* Prasa amerykańska wskazuje również, że tego rodzaju akcja miałaby obecnie spore widoki powodzenie.

Przypuszczać wolno, że Rzesza liczy się z możliwością takiego desantu. Dowodem tego jest ogłoszenie stanu wyjątkowego w Norwegii. Ale czy dojdzie do desantu brytyjskiego w Norwegii czy w Murmańsku, trudno w tej chwili orzec. Kto wie, czy nie dokoną się szeregu dorywczych ataków w stylu wypadu na *Lofoty.* Byłaby to akcja demonstracyjna, wojna nerwów w stosunku do Rzeszy, szybkie posunięcia mające na celu wywołanie paniki, zamieszania a pozatem obliczone na niszczenie ważnych obiektów /jak na Lofotach/.

Tego rodzaju wypady byłyby zrozumiałe: stanowiłyby one wstęp, przygotowanie czy próbę generalną tej inwazji kontynentu, której Anglia musi dokonać—i zamierza, jak wolno wnioskować, dokonać w r. 1942 lub 1943.

KARTY PADNĄ W SIERPNIU?

Kto wie, czy wiele kart nie padnie w sierpniu. Losy kampanii na Wschodzie, stanowisko Japonii, pozycja Turcji—te trzy czynniki mogą już wyjaśnić się w tym miesiącu. Dlatego też ma rację prasa brytyjska, jeżeli uważa ostatnie dwa tygodnie tego miesiąca za naprawdę doniosłe.

Londyn, 18 sierpnia 1941.

Zbigniew Grabowski

Gwarancja turecka

Wspólna gwarancja Wielkiej Brytanii i Rosji, udzielona Turcji jest faktem o niezwykle doniosłym, bezpośrednim znaczeniu politycznym. Zamyka ona Hitlerowi najbliższą i najprostszą drogę na Kaukaz, drogę do nafty. Ogłoszenie tej gwarancji stwierdza, że von Papen ostatecznie przegrał swą kampanię w Ankarze. Turcja nie tylko nie pójdzie razem z Niemcami przeciw Rosji, ale i nie przepuści dobrowolnie wojsk niemieckich. Na to, ażeby dotrzeć do gór kaukaskich, by otworzyć sobie drogę do Baku i Batumu, trzeba będzie przedtem pobić armię turecką i zdobyć Turcję. A Turek jest dobrym żołnierzem.

RYWALIZACJA ROSYJSKO-BRYTYJSKA W XIX W.

Wspólna gwarancja rosyjsko-brytyjska ma jeszcze i inne znaczenie. Zamyka ona okres rywalizacji brytyjsko-rosyjskiej o wpływy w Turcji, rywalizacji o Dardanele. Przez cały wiek XIX Rosja i Anglia rywalizowały nad Bosforem. Rosja dążyła do likwidacji Turcji i usadowienia się w Konstantynopolu, Anglia odgrywała rolę protektorki całości Imperium Ottomańskiego. W roku 1856 o Turcję doszło do wojny angielsko-rosyjskiej, wojny krymskiej, w której Rosja została zwyciężona. Po zwycięskiej kampanii Rosji przeciw Turcji w roku 1876 Disraeli na Kongresie berlińskim (przy cichej pomocy Bismarcka) wyrwał Rosji część owoców zwycięstwa i doprowadził do unieważnienia pokoju w San Stefano.

TRZECI KONKURENT

Sytuacja zmieniła się w wieku XX. Nad Bosforem zjawił się trzeci konkurent—Niemcy. Wilhelm II ogłosił się protektorem krwawego sułtana Abdul Hamida, paladynem świata muzułmańskiego. Projekt kolei Berlin-Bagdad zagrażał w równej mierze interesom rosyjskim, jak i brytyjskim. Gdy zaś po rewolucji młodotureckiej do władzy doszli Enver bey i Talaat pasza, obaj wychowani w Berlinie na wzorach pruskich, stosunki niemiecko-tureckie zacieśniły się jeszcze bardziej. Symbolem tego było oddanie dowództwa armii tureckiej w ręce niemieckiego jenerała, Limana von Sandersa. Równolegle z tym szło zacieśnienię stosunków brytyjsko-rosyjskich, wyrównywanie spraw spornych w Persji i na Dalekim Wschodzie.

UKŁAD STOSUNKÓW W OKRESIE WIELKIEJ WOJNY

To też z chwilą wybuchu Wielkiej Wojny Rosja i Anglia znalazły się w jednym obozie, Turcję zaś jej młodoturecczy władcy sprzęgli z Niemcami. W wojnie tej Turcja w stosunku do aliantów zachodnich była w defensywie, w stosunku do Rosji w ofensywie. Był czas gdy mogło się zdawać, że Turcja odegra na Kaukazie rolę kierowniczą. Nie Berlin, ale Konstantynopol był formalnie ośrodkiem, gdzie rozstrzygały się losy Gruzji, Aserbejdżanu, Armenii. Przytem muzułmański Aserbejdżan gotów był do bardzo daleko idącego połączenia się z Turcją. Nawet gdy bezapelacyjne zwycięstwo aliantów rozbiło ostatecznie Imperium Ottomańskie, gdy dyktowano Turkom pokój w Sèvres, nieskończenie ostrzejszy od Wersalskiego—jeszcze Turcja potrafiła utrzymać Kars zdobyty na Rosji.

PUNKT ZWROTNY

Lata następne przynoszą zupełne odwrócenie sytuacji z wieku XIX. Bolszewicka Rosja wyrzeka się dążności zaborczych Rosji carskiej. Nie myśli już o Konstantynopolu. Natomiast tym mocarstwem, które stara się Turków wyrzucić z Europy i z całej Małej Azji jest Wielka Brytania. Plan się nie udaje. Wyprawa grecka do Małej Azji kończy się straszliwą klęską. W chwili zaś gdy Lloyd George pragnie rzucić na szalę siłę angielską, instrument łamie mu się w ręku. Francja przez Franklin Bouillona układa się na własną rękę z Kemalem i nie myśli o poparciu Anglii. Kanada wyraźnie oświadcza, że nie chce nic wiedzieć o wschodnich awanturach. Następują w Lozannie nowe pertraktacje pokojowe, gdzie Turcja występuje już jako równouprawniony partner. Oczywiście Kemal nie próbuje nawet utrzymać krajów arabskich, jego dążeniem jest stworzyć z Turcji silne państwo narodowe. Ale Smyrna i cała Anatolia pozostają przy Turcji, przy Turcji pozostaje Konstantynopol. Cieśniny jednak podlegają demilitaryzacji.

"MÓJ PRZYJACIEL LITWINOW"

Rosja sowiecka pomagała Turcji w jej walce z Anglią. Były to przecież czasy interwencji mocarstw zachodnich w rosyjskich walkach domowych. I przez cały długi szereg lat przyjaźń sowiecko-turecka była zasadniczym czynnikiem polityki na Bliskim Wschodzie. Pamiętam doskonale, jak na samym początku konferencji rozbrojeniowej w Genewie w roku 1932, gdy Litwinow i cała delegacja sowiecka byli jeszcze po prostu bojkotowani, Tewfik Rustu Aras, ówczesny turecki minister spraw zagranicznych, manifestacyjnie w swych przemówieniach używał zwrotu—"mój przyjaciel Litwinow."

TURCJA DĄŻY DO ZGODY Z ZACHODEM

To oparcie o Rosję nie wydawało się jednak tureckim politykom wystarczające. Dążyli do pogodzenia się z Zachodem. Pierwszym czynem w tym kierunku było wyrównanie spraw z Grecją. Mimo, że Grecja została pobita przez Turcję, mimo, że wymiana ludności Grecję uderzyła nieskończenie boleśniej, niż Turcję—Grecy małoazjatyccy bowiem byli osiedli tam jeszcze przed wojnami perskimi i byli elementem najbogatszym, przy emigracji zaś stracili prawie wszystko—polityce tureckiej udało się zatrzeć te wspomnienia i nawiązać z Grecją stosunki istotnie przyjacielskie.

Wyrównanie stosunków z Anglią nastąpiło z okazji sprawy abisyńskiej. Anglia po nieudanej kampanii greckiej pogodziła się z sytuacją i już całości Turcji nie zagrażała. Włochy Mussoliniego jednak, wiecznie głodne i wiecznie poszukujące słabego przeciwnika, którego by można było tanim kosztem obrabować, nie wyrzekły się marzeń o Anatolii, którą im zresztą przyrzeczono podczas wojny poprzedniej, tak samo jak Rosji przyrzeczono Konstantynopol.

Z chwilą więc gdy polityka sankcyjna doprowadziła do konfliktu włosko-angielskiego, Kemal uznał, że przyszedł czas na pogodzenie się z Anglią i uzyskanie gwarancji angielskiej. Taktyka była niezwykle zręczna. Turcja oficjalnie wystąpiła z żądaniem rewizji traktatu Lozańskiego i żądaniem zgody na ufortyfikowanie Dardaneli.

Żądaniu temu nie można było odmówić. Był to rok 1936. Włochy wbrew umowom międzynarodowym, wbrew Paktowi Ligi napadły na Abisynię. Niemcy wbrew traktatowi Wersalskiemu i Lokarneńskiemu wysłały wojska do Nadrenii. Jakżeż można było odmówić państwu, które, mogąc jednostronnie zerwać trakat i rozpocząć fortyfikację Dardaneli, bez pytania kogokolwiek o pozwolenie, wybiera drogę legalną i prosi współkontrahentów o zgodną rewizję traktatu. Na wiosnę roku 1936 zebrała się więc w Montreux konferencja. Włochy na konferencję delegata nie przysłały, myśląc że uda się ją w ten sposób zerwać. Nie zwrócono jednak na to uwagi, i podpisano umowę przywracającą Turcji pełną suwerenność nad Dardanelami. Później i Włochy musiały uznać tę umowę. Turcja wygrała sprawę na całej linii.

POROZUMIENIE ANGLO-TURECKIE

Szło jednak nie tylko o Dardanele. Konferencja w Montreux dała w wyniku ostateczne porozumienie anglo-tureckie. Przy ustalaniu nowej umowy wynikły poważne różnice między Anglią, a Sowietami, których interesy bynajmniej nie były jednoznaczne. I wtedy Tewfik Rustu Aras zapomniał o "swoim przyjacielu Litwinowie" i bez wahania poparł rząd brytyjski. Co prawda po powrócie musiał, mimo wygrania sprawy, opuścić ministerstwo spraw zagranicznych i przyjąć ambasadę londyńską (dziś jeszcze reprezentuje rząd turecki w Londynie), ale dzieło jego pozostało. Zbliżenie turecko-angielskie było faktem dokonanym.

Wkrótce potem Turcja rozpoczęła nową kampanię o poprawienie traktatu lozańskiego: pertraktację z Francją o odstąpienie Sandżaku Aleksandretty, przyłączonego tym traktatem do Syrii. Pertraktacje—znowu prowadzone ze stuprocentowym legalizmem, pod skrzydłami Ligi Narodów—trwały długo i były nieraz dość burzliwe. Turcy w pewnych momentach potrząsali szablą. W końcu jednak i tę sprawę udało się wygrać. W roku 1939 Sandżak powrócił do Turcji.

PRZYMIERZE Z FRANCJĄ I WIELKĄ BRYTANIĄ

Droga więc była oczyszczona do pełnej współpracy Turcji z mocarstwami zachodnimi. W tym samym 1939 roku Turcja zawiera pełne przymierze z Francją i Wielką Brytanią. Nie bierze jednak udziału w wojnie. Przede wszystkim ani Francja, ani Wielka Brytania tego od niej nie żądają. Powtóre traktat zawiera jedno niesłychanie ważne zastrzeżenie. Turcja nie jest zobowiązana do niczego, co by ją mogło wprowadzić w konflikt z Rosją Sowiecką. Zbyt ciężko nawisa Rosja bezpośrednio nad granicą turecką, by się temu można było dziwić.

Przymierze tureckie miało jednak ten sens, że w razie niemieckiego ataku na Bałkany Turcja miała wystąpić. (Była zresztą do tego zobowiązana i przez Ententę Bałkańską.) Jak sprawy wyglądały w czasie kampanii fińskiej, tego nie wiemy dokładnie i zapewne nie prędko się dowiemy. Niemcy jak zawsze znaleźli dogodne "dokumenty dyplomatyczne," z których wynika "ponad wszelką wątpliwość" że istniał plan ataku na Rosję poprzez Turcję, że Baku i Batum miały być zbombardowane przez aeroplany alianckie, stacjonowane na lotniskach tureckich. Prasa sowiecka w trakcie kampanii greckiej dokumentom tym dawała wiarę i stosunki rosyjsko-tureckie były mocno naprężone. My oczywiście dokumentom takim nie potrzebujemy wierzyć. Stwierdzić jednak należy, że w tym samym czasie, w którym przygotowywano korpus ekspedycyjny do Finlandii, odzywały się w prasie i londyńskiej i paryskiej głosy żądające ekspedycji na Kaukaz. A o bombardowaniu Baku i Batumu "Punch" napisał wtedy pyszny wierszyk. (Głosy te w Paryżu pochodziły głównie z tych sfer, które chciały zmienić wojnę z Niemcami na wyprawę krzyżową przeciw bolszewizmowi.)

POWODY BIERNOŚCI WOBEC WYDARZEŃ BAŁKAŃSKICH

Jakkolwiek zresztą było, groźba rosyjska sparaliżowała Turcję. Ciągle była sprzymierzeńcem Anglii, ambasador turecki urzędował przy rządzie polskim w Angers. Gdy jednak Włochy napadły na Grecję, co było *casus foederis* (t.zn. faktem wprowadzającym działanie traktatu) Turcja się nie ruszyła. Dla usprawiedliwienia tego trzeba pamiętać nie tylko o groźbie rosyjskiej, nie tylko o tym, że Turcja mogła się obawiać powtórzenia historii polskiej z września 1939, ale i o tym, że w owym momencie Turcja nie mogła marzyć o otrzymaniu skutecznej pomocy z Zachodu.

Jednym bowiem z elementów przymierza było istnienie w Syrii mocnej armii Weyganda. Ta armia w chwili napadu na Grecję już nie istniała. Wręcz przeciwnie Turcy dobrze wiedzieli, że Vichy nie zawaha się Niemcom oddać Syrii, jako bazy. Irak był również niepewny. Rashid Ali już pracował. Padła Grecja, padła Jugosławia—Turcja pozostała biernym widzem.

W tym momencie następuje zmiana dekoracji. Niemcy zaczynają kokietować Turcję. To już nie Rosji obiecuje się Kars i Armenię turecką i Konstantynopol; to Turcję von Papen zaczyna kusić marzeniami z roku 1918—Kaukazem. Jednocześnie z kokietowaniem zaczyna się i grożenie. I dwa miesiące temu, Turcja nie zrywając przymierza z Anglią podpisuje z Niemcami pakt nieagresji i przyjaźni. I, podobnie jak w parę dni po podpisaniu traktatu nieagresji z Rosją, Hitler rzucił się na Polskę, podobnie zabezpieczywszy się od strony Turcji, rzuca się na Rosję.

ZWYCIĘSTWO DYPLOMATYCZNE ALIANTÓW

Ale tu podobieństwo się kończy. Politycy tureccy są przewidujący. Podpisując traktat z Niemcami zastrzegli sobie, że nie zrywają przymierza z Anglią. Traktat uważali po prostu za asekurację, że nie nastąpi ich kosztem porozumienie niemiecko-sowieckie. Obecnie, gdy wojna niemiecko-sowiecka jest faktem dokonanym, gdy *Blitzkrieg* hitlerowski nie potrafił Rosji złamać w ciągu kilku tygodni, gdy nie tylko Irak jest uspokojony, ale i Syria jest w ręku brytyjskim, tak, że granice azjatyckie Turcji już nie są zagrożone—Turcja przyjmując gwarancję sowiecko-brytyjską ponownie deklaruje się przeciw Niemcom. Jest to niewątpliwie wielkie zwycięstwo dyplomatyczne, zwycięstwo, sięgające poza granice Turcji.

Turcja bowiem ma dwie twarze—europejską i azjatycką. Jako mocarstwo europejskie, bałkańskie była członkiem Ententy bałkańskiej, która zmarła niesławną śmiercią. Jako państwo azjatyckie jest związana paktem saadabadzkim z trzema innymi państwami azjatyckimi: Irakiem, Iranem (Persją) i Afganistanem. Wiadomo, że Iran i Afganistan są obecnie jednym z terenów na których propaganda niemiecka i "turyści" niemieccy pracują jak najusilniej.

Nowe zdeklarowanie się Turcji nie może pozostać bez wpływu na dalszy rozwój wypadków na tych terenach.

Michał Prozor

Nowe oświetlenie inwazji na Kretę

"Kampania sowiecka" usunęła w cień inne teatry wojny i wiele innych niedawnych zainteresowań. Całkowite zaniedbywanie ich było by jednak poważnym błędem, albowiem obecna wojna łączy w sobie w zupełnie niezwykły sposób wiele najróżnorodniejszych zagadnień, których wpływ i wzajemne powiązania nie powinny uchodzić naszej uwadze. Tym więcej, że badanie przeszłości pozwala niejednokrotnie na lepsze zrozumienie aktualnie rozgrywających się wydarzeń.

Z tego względu będzie zapewne rzeczą interesującą przejrzenie prasy francuskiej z okresu "kreteńskiego" i początków kampanii syryjskiej. Być może odsłoni to nam w pewnej mierze kulisy całkowicie dla nas niezrozumiałej decyzji rządu Vichy, aby stawiać w Syrii zbrojny opór W. Brytanii. Trzeba z góry zaznaczyć, że wielu wojskowych krytyków francuskich zdobywa się na pewną bezstronność sądów, jakkolwiek często nie przychodzi im to łatwo ze względu na źródła, z jakich czerpią swe wiadomości.

Gen. Duval i kilku innych krytyków wojskowych sądzi, iż powodzenie na Krecie Niemcy zawdzięczają przede wszystkim doskonałemu zgraniu wszystkich czynników: lotnictwa, marynarki, piechoty, sportu, przemysłu, wiedzy meteorologicznej i t.d. i t.d. /Jeden z autorów zachwyca się tak dalece precyzją przygotowań w natarciu na Maleme, iż porównywa go do . . . baletu. Oto co się nazywa hipnozą fanfar propagandy niemieckiej.)

Najważniejszym wnioskiem z bitwy o Kretę, jaki wyciąga p. Renaudin /"*Le Jour*" z 6.VI/ jest ogromna "*vulnérabilité*" lotnisk, które raz pochwycone przez nieprzyjaciela, pozwalają mu na stałe otrzymywanie posiłków.

Gen. Brosse w artykule "o charakterze i lekcjach bitwy o Kretę" /"*Le Temps*" z 12.VI/ dochodzi do następującej konkluzji:

1.—Użyte w dostatecznej ilości bombowce mogą w bitwach na ziemi zastąpić do pewnego stopnia artylerię.

2.—Skoczkowie powietrzni i oddziały przewiezione przez szybowce, użyte w dostatecznej sile mogą odnieść rozstrzygające sukcesy.

3.—Na Morzu Śródziemnym, posiadające przewagę w powietrzu lotnictwo niemieckie zapanowało nad marynarką brytyjską, która miała niewątpliwie przewagę na morzu i zmusiło ją do co najmniej częściowego wycofania się z pewnej strefy morza.

Rzeczą znacznie ciekawszą od rozważań "kreteńskich" są głosy krytyków francuskich dotyczące przyszłych, tj. zamierzonych po zdobyciu Krety, działań niemieckich. Rozporządzamy kilku zaledwie dziennikami francuskimi, żaden z nich jednak nie przewiduje akcji sowieckiej, wszystkie natomiast wyraźnie wskazują na Morze Śródziemne. /Zaznaczmy tu, że opinia amerykańska była zaskoczona pamiętnego dnia 22 czerwca/.

Nic dziwnego więc, że Jack Darcy w artykule drukowanym w "*Figaro*" /10.VI/ zapytuje "czy największa w tej wojnie bitwa czołgów będzie się toczyła na pustyni Egiptu?" Sądzi on, że upały w obecnym okresie mogą nie stanowić przeszkody w podjęciu ofensywy. "Piaski egipskie—pisze—są jedynym miejscem na świecie, gdzie wojska Osi mogą się spotkać z wojskami imperialnymi i mogą je pobić *nie musząc uprzednio przekraczać morza*. Pole walki w Egipcie może być tym więcej atrakcyjne, iż jest ono *jedynym istniejącym polem bitwy*. /Podkreślenia nasze. Jak widać we Francji zdają sobie sprawę z trudności inwazyjnych, stojących przed niemieckimi siłami zbrojnymi./

Inny autor T.G. w artykule "W przededniu kampanii egipskiej" /"*Le Jour*" z 6.VI/ opisuje jak został uformowany kolonialny korpus niemiecki. Utworzono więc najpierw w sierpniu 1940 r. specjalny sztab, przed którym zarysowały się dwa główne zagadnienia: personalne i materiałowe. Dobrano ludzi bardzo starannie, zaprawiając ich w specjalnych cieplarniach. Lekarze wystudiowali dokładnie specjalne racje żywnościowe. Zbadano 45 modeli traktorów i czołgów w odpowiednim terenie i temperaturze. Racje wody ustalano na 5 litrów na człowieka i 20 na motor przy normalnym wysiłku. Skonstruowano specjalne bidony na wodę i benzynę i dostosowano je do możliwości transportowych lotnictwa i t.d. i t.d.

W związku ze smutnymi przewidywaniami i doświadczeniami walki o Kretę prasa francuska zajmowała się wiele sprawą nowych aspektów walki na morzu. W przekonaniu kilku autorów użycie samolotów zmieniło poważnie technikę bitwy morskiej. Z jednej strony Stuka, bombowce i torpedy samolotowe stanowią co raz poważniejszą groźbę dla okrętów, z drugiej jednak—co raz potężniejsze uzbrojenie przeciwlotnicze stawiają je przed bardzo trudnymi zadaniami. Jeśli sobie uprzytomnić, że np. nowoczesny lotniskowiec angielski — według "*Le Journal*" /z 31.V/ rozporządza 32 c.k.m. o dużym kalibrze, 18 działami 114 mm. i 32 działami 40 mm.

Na wstępie niniejszego sprawozdania wyraziliśmy zdanie, iż być może w rozważaniach prasy francuskiej, znajdziemy odpowiedź co do niezrozumiałej dla nas decyzji rządu Vichy stawienia zbrojnego oporu W. Brytanii na terenie Syrii. Można sądzić, iż Niemcy potrafili zasugerować wielu obserwatorom wydarzeń na Krecie i na Morzu Śródziemnym taki kierunek działań, który im odpowiadał. Stąd może wojna w Syrii pochłaniająca część wysiłku W. Brytanii w czasie, gdy Hitler przygotowywał nowe orędzie do swego narodu, kierujące go przeciw dotychczasowemu posłusznemu sojusznikowi.

Stefan Jurkowski

Sierżant Prot, nocny myśliwiec*

—Wiadomości z Kraju?—powtórzył Prot ostatnie słowa mojego pytania. — Wiadomości z Kraju, to znaczy—od moich?

Skinąłem głową i spojrzałem uważniej na jego twarz nieco postarzałą, z wyraźnymi bruzdami, biegnącymi łukiem od nozdrzy do kącików ust, ze szramą przez brodę i kilku śladami po ospie na ciemnych, szczupłych policzkach. Zmarszczył brwi i zamyślił się, jakby to pytanie dotyczyło spraw dalekich i dawnych, które dopiero trzeba wywołać w pamięci, by móc o nich mówić.

Zdziwiło mnie to. Znałem żonę sierżanta Prota i ich dwoje dzieci jeszcze w Dęblinie. Ona była nauczycielką w szkole powszechnej. Chłopiec miał wtedy ze trzy lata, a dziewczynka—Zosia, o ile pamiętam—tak, Zosia, tak samo, jak matka—może cztery albo pięć. Tę Zosię Prot kochał chyba najwięcej. Bardziej, niż żonę i syna. Bardziej, niż się to da wypowiedzieć—jak sądzę.

Pani Protowa przychodziła do nas czasem, żeby poradzić się mojej żony w sprawie swetrów. (Padały wtedy niezrozumiałe terminy: słupki i półsłupki, ścieg ryżowy, ścieg gwiazdkowy, dwa oczka w powietrzu i t.d.). Była ładna, cicha i dobra. Stanowili dobrane,, kochające się małżeństwo. Prot, który będąc kawalerem trochę popijał i trochę się awanturował, pod jej wpływem stał się wzorowym podoficerem. Dzieci były zawsze czyste i porządnie ubrane. Lubiłem całą tę rodzinę, a Prota szczególnie ceniłem jako jednego z najlepszych instruktorów w szkole, gdzie sam byłem szefem pilotażu. Dlatego żywo interesował mnie los jego żony i dzieci.

A teraz wydało mi się, że o nich zapomniał. Siedział przede mną na żołnierskim łóżku w kącie baraku, przodem zwrócony ku światłu żarówki pod zakurzonym blaszanym kloszem i patrzył ze zmarszczonymi brwiami w stronę, gdzie czterech pilotów grało w bridge'a przy małym kulawym stole. Patrzył i pewnie ich wcale nie widział, tak samo jak nie widział dwóch pozostałych, rozciągniętych na sąsiednich łóżkach. Oni też zresztą nie zwracali na nas uwagi. Porozpinane kombinezony wisiały na nich fałdziście, a żółte kauczukowe kamizelki do nadymania powietrzem na wypadek skoku do morza jeszcze bardziej deformowały ich postacie rozpływające się w półcieniu tego baraku, gdzie "*flight B*" spędzał godziny oczekiwania na rozkaz do lotu.

Ci dwaj na łóżkach patrzyli w niski sufit, po którym łaziły senne muchy i w którego rogach czatowały pająki. Tamci czterej palili i grali w skupieniu rzucając półgłosem słowa bridgeowej liturgii. Prot zaś patrzył przez nich na wylot, gdzieś bardzo daleko i nie odpowiadał, jakby nie mógł dojrzeć tych, o których zapytałem.

Nie przerywałem jego milczenia. Nigdy nie można przewidzieć, co się za takim milczeniem kryje: — rozpacz? — zapomnienie i zobojętnienie?—jakaś tragedia, o której się nic nie wie? Może po prostu niechęć do rozmowy o tych sprawach z człowiekiem, którego się znało wtedy, gdy wszystko było inaczej niż dziś?

—Jakie ja mogę mieć wiadomości, panie kapitanie?—powiedział nagle cichym, chrapliwym głosem.—Pamięta pan kapitan tę łąkę, jak się szło nad Wieprz koło stawu w parku?—zapytał, nabrawszy pełne płuca powietrza, jakby chciał jednym tchem wypowiedzieć wszystko od samego początku.

—Pamiętam — odpowiedziałem półgłosem, on zaś wstrzymał oddech i patrzył mi teraz prosto w oczy badawczo i pilnie, czekając chyba, abym sobie tę łąkę przypomniał.

Pamiętałem ją zresztą bardzo dobrze: była rozległa, wilgotna, zarośnięta wysoką trawą, której nikt nie kosił, i pełna kwiatów. Latały nad nią czajki i nasze samoloty, a dzieci zawsze tam biegały w lecie robić bukiety. Dalej zaczynały się uprawne chłopskie grunta, a jeszcze dalej, między piaszczystymi hałdami i mieliznami płynęła rzeka, obrosła po brzegach wikliną. Tam chodziliśmy się kąpać.

—To było trzeciego września—zaczął znów Prot odetchnąwszy głęboko.—Trzeciego września, w niedzielę. Dęblin już był wtedy tak zbombardowany, że nie przedstawiał żadnej wartości wojskowej. Tylko niektóre domy mieszkalne ocalały. Między innymi ten, w którym kiedyś pan kapitan mieszkał, zaraz obok naszego. Rano pozbieraliśmy ludzi i zorganizowało się na nowo oddziały, a koło południa zaczęły wracać rodziny: z Masowa, z Gołąbia i gdzie tam się kto przed bombami chronił. Ja poszedłem po swoich, żeby ich gdzieś na stałe umieścić, bo mieliśmy iść z Dęblina. Przez tę łąkę szedłem, panie kapitanie, jak ich zobaczyłem z daleka wszystkich troje. Zośka mnie też zobaczyła i zaczęła biec do mnie. A wtedy przyleciała wyprawa—pewnie ze 30 Dornierów—i dawaj grzać po lotnisku! Wszyscyśmy stanęli w miejscu: nie wiadomo co robić—takie to było nagłe. . . . A między nami jeszcze z pół kilometra tej łąki. . . . Tylko Zośka biegła ku mnie w czerwonej sukience.

Spojrzał na mnie znowu, jakby chcąc sprawdzić, czy słucham uważnie, sięgnął do mojej papierośnicy, którą mu podałem, wziął papieros i wygniatając go w palcach mówił dalej:

—Jeden taki syn ją zobaczył, bo lecieli nisko: na 300-400 metrów. Przypikował nad łąką i zaczął siać z przednich kaemów. Schodził co raz niżej, prosto na nią, a mnie—jakby kto ukropem oblał: tchu mi zabrakło i nawet krzyknąć nie mogłem, tylko patrzyłem . . . patrzyłem, póki nie upadła. Jak ja to przeżyłem, panie kapitanie, daję słowo—nie wiem. Czasem mi się jeszcze teraz zdaje, że to nieprawda. . . .

Spojrzał znów poprzez barak gdzieś niezmiernie daleko, a ja miałem wrażenie, że odchodzi wraz z tym spojrzeniem, że nie ma go tu wcale, choć przecie siedział przede mną i powolnym ruchem podnosił do ust papieros, by go wreszcie zapalić. Zaciągnął się głęboko dymem i wrócił: spojrzał mi znów w oczy.

—Musiałem iść — powiedział usprawiedliwiająco. — Taki był rozkaz. Ledwie zdążyłem ją pochować; nawet bez księdza.

—A żona?—wyrwało mi się.—A syn?

Rozłożył ręce przechylając głowę na bok i unosząc ramiona.

—Nie wiem—wyszeptał tak cicho, że gdyby nie drgnienie warg, nie rozpoznałbym tych słów.

Milczeliśmy obaj, paląc. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Co zrobić? Cóż powiedzieć, czy też uczynić mogłem?

Nie wiedziałem nic dotąd o jego losach: dopiero tu, w tym nocnym dywizjonie myśliwskim w Wielkiej Brytanii dowiedziałem się, że Prot żyje. Że jest jednym z najlepszych pilotów. Że zestrzelił w nocy 9 niemieckich maszyn, nie licząc tych, które zestrzelił w dzień we Francji i w czasie jesiennej "bitwy o Londyn."

Właśnie o nocne walki chciałem go zapytać, ale po tych przejmujących jego słowach nie miałem odwagi pytać o cokolwiek. Sam zaczął mówić po chwili. Najpierw wolno, z przerwami, jakby mu trudno było wrócić od tej łąki nad Wieprzem, gdzie niemiecki pilot zabił mu dziecko, potem zaś już składniej i bez przerw, podczas których wydawał się nieobecny.

—Wygasiłem ich dosyć, panie kapitanie. W Polsce—nie, bo nie było na czym. Ale we Francji w "Finlandzkim Dywizjonie" i tu, w zeszłym roku. Nie zależało mi na życiu, ale żyję. Może nawet wrócę kiedyś—do tego grobu na dęblińskim cmentarzu. . . .

—Potem poszedłem do nocnego dywizjonu. Z początku szło trudno i już chciałem iść z powrotem do dziennego, bo nie mogłem żadnego drania upolować. Ale—wszystkiego można się nauczyć i teraz idzie. Nawet wolę te nocne polowania: można bliżej podejść i prać choćby z dwudziestu yardów.

Przerwał, bo przy stole wynikła krótka sprzeczka o jakieś wyjście spod króla, ożywił się nagle, zapalił nowy papieros i, pochylając się ku mnie, zaczął zupełnie innym tonem:

—Pamiętam takie pierwsze nocne spotkanie, po wielu niepowodzeniach. Pan kapitan przecież wie, jak to jest, kiedy człowiek nie może ani rusz złapać do czegoś drygu w powietrzu. Zupełnie jak uczeń, który nie może zrozumieć, na czym polega lądowanie, albo start. Wydaje się, że nigdy tego nie skapuje, choćby mu nie wiem jak tłumaczyć. A potem przychodzi taki błysk—raz jeden—i już: wszystko jest łatwe i proste. No nie?

Skinąłem głową, on zaś rozsiadł się wygodniej i, oparłszy łokcie na kolanach, uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczora. Uśmiechnął się nie do mnie, lecz zapewne do swoich myśli, jak uśmiechał się niegdyś, kiedy miał mi do opowiedzenia coś, co jego zdaniem było ciekawe. Pamiętam, że uśmiechał się tak zawsze, powierzając mi jako młody instruktor swoje "odkrycia" z zakresu metod szkolenia i poddając je memu osądowi. Lubiłem słuchać tych jego zwierzeń i obserwować, jak dojrzewa w nim prawdziwy talent świadomego siebie pilota. I on lubił mnie zapewne, ponieważ nigdy nie przybierałem wobec niego mentorskiego tonu, lecz starałem się pomóc mu tylko w samodzielnym myśleniu.

Tak właśnie uśmiechał się teraz, a ja—tak jak niegdyś—spojrzałem na niego uważnie i zachęcająco.

—Wystartowaliśmy z podporucznikiem Ruteckim—pan kapitan go pewnie nie zna, bo to młody pilot, z ostatniego rocznika przed wojną—o, ten co gra w bridge'a, tyłem do nas. Więc wystartowaliśmy późno w nocy, pewnie koło drugiej. Księżyca nie było, ale gwiazdy świeciły i powietrze było czyste jak rzadko. Ledwie wciągnąłem podwozie i zameldowałem się przez radio w "*operation*," podają kurs i wysokość—14.000. Wchodzimy. Na sześciu tysiącach—nowy kurs, o 45 stopni różnicy. Na dziesięciu—znów 90 stopni różnicy. Dochodzimy do 14.000—każą zawrócić o 180 stopni. No dobrze. "Trzymać się na tym poziomie."

—Lecimy, lecimy i nic. Po 10 minutach słyszę, jak Rutecki się melduje:—Hallo Kora, Kora—sekcja czerwona, *flight B*. Jesteśmy na wskazanym kursie i wysokości. Nic nie widać. Co mamy dalej robić? Odbiór . . . odbiór. . . .

Odpowiedź jest natychmiastowa:—Przed wami na wprost samoloty bombowe nieprzyjaciela.

—Już nie raz to słyszałem, panie kapitanie. I zawsze wtedy najgorzej się czuję: człowiek po prostu wyłazi ze skóry, żeby coś zobaczyć—i nic. Myślę sobie:—Tam w "*operation*" wiedzą gdzie j a jestem i gdzie o n i są. Może to 300, może 200 yardów. A ja nie widzę. Pewnie są niżej, na tle ziemi.

—Schodzę niżej, wypatruję nad sobą na wprost, na lewo, na prawo i—znowu nic. A minuty ciekną jedna po drugiej. Każda taka minuta, to przecież więcej niż 6 mil przestrzeni, a Niemcy też nie wiszą w miejscu, tylko mogą odchodzić pod kątem: mogą teraz być już za mną na lewo, albo na prawo w tył. Może właśnie wchodzą nad cel? Może już bombardują? Może wymykają się z powrotem w stronę Kanału?

—Żebym choć wiedział, gdzie to jest, ten Kanał. . . . Nie ma czasu spojrzeć na busolę, zorientować się. Nie ma czasu na łączność z moim numerem 2, bo właśnie wtedy, gdy będę się za nim rozglądał, mogę minąć Niemca, nie zauważywszy go wcale. . . . Taka, psia krew, ślepa babka!

—Ale wtedy zobaczyłem ich od razu: szli przede mną, trochę powyżej. Właściwie nie widziałem jeszcze ich maszyny, tylko błyski co raz nowych gwiazd, wyłaniających się z za jej skrzydeł. Dopiero potem utrwalił mi się w oczach czarny cień na tle granatowego nieba i wówczas dostrzegłem także, jak gwiazdy gasną, gdy je przesłania.

—Zameldowałem do "*operation*," że widzę. Wrzepiłem pełny "*bust*." Ostrożnie, żeby ich nie zgubić w ciemności, wyciągnąłem się w górę ponad nich. Widziałem ich ciągle, co raz lepiej, choć sunęli teraz na tle ziemi, prawie tak samo czarnej jak maszyna. N a u c z y ł e m s i ę i c h w i d z i e ć.

—Księżyc nie świecił, ale na skrzydłach kładła się blada poświata z nieba jaśniejszego, niż noc tam w dole. Widziałem, ale nie myślałem o tym. Przez głowę przeleciała mi tylko jedna krótka myśl: Rutecki mi się zgubił—będę atakował sam.

—Potem już właściwie przestałem myśleć: ten proces, jaki się odbywa w mózgu przed samą walką i w czasie walki, jest chyba mechaniczną pracą jakiegoś zespołu komórek mózgowych, przeznaczonych wyłącznie do obliczania odległości i poprawek ognia, a cały organizm, wszystkie odruchy mięśni i wszystkie zmysły tak są skoncentrowane w tym jednym kierunku, że na żadne myśli nie ma już miejsca.

—Zbliżałem się: 300 yardów—250—200 . . .

—Jakaś jaśniejsza gwiazda przejrzała się w szybach ich wieżyczki astro.

—150 yardów: można by otworzyć ogień. Widzę dokładnie kształt skrzydeł, kadłuba, opierzenia ogona: to Do-215. Balansuje w przestrzeni przede mną leniwie, łagodnie, jak w ciemnym choć przezroczystym oleju. Rośnie. . . .

—100 yardów . . . Trawersuję lekko w prawo, żeby go mieć ze skosu, bo wtedy cel jest większy. Redukuję obroty, żeby go nie wyminąć i żeby jak najdłużej był w ogniu moich kaemów i działka.

—50 yardów: teraz. . . .

—Czuję leciutkie drżenie maszyny i widzę smugi moich pocisków przed skrzydłami Dorniera. Naciskam nieco ster. Sekunda, dwie—już w nie wchodzi—trzy—wydaje mi się, że po czarnym kadłubie skaczą drobne iskierki, jak z krzesiwa. Zamykam gaz: trzymam go w smugach, choć robi głęboki unik w prawo, potem w lewo. Wtem—błysk czerwony, ogromny, w tym miejscu, gdzie skrzydło wyrasta z kadłuba, i—lecą strzępy!

—Staram się jeszcze iść za nim w dół, ale to, co tam teraz spada, jest tylko ciężkim stłamszonym łachmanem żelaza i blachy: spada jak kamień.

—Więc tylko mówię to, co mówiłem każdej ich zestrzelonej załodze. Mówię, że. . . .

Zawahał się i nagle zamilkł. Spojrzał na mnie jak zbudzony ze snu, obejrzał się na grających, na tych dwóch, którzy zdawali się drzemać wyciągnięci na łóżkach, i szybkim, nieco nerwowym ruchem zgniótł niedopałek papierosa. Ściągnięte brwi drgały mu lekko. Odwrócił w bok głowę i cień od czoła zakrył mu oczy. Biała blizna, błyszcząca cienkim naskórkiem na wydatnym podbródku zaczerwieniła się podbiegłą krwią.

Nikt na niego nie zważał. Nikt nie słyszał tego, o czym mówił i nagłe milczenie zawisło tylko między nami dwoma, jak pauza przed ostatnim akordem jakiejś melodii.

Przerywa ją trywialnie dzwonek telefonu. Natrętny, głośny, bezczelny. Dyżurny telefonista zdjął słuchawkę. Od stolika bridge'owego wykręciły się w jego stronę cztery postacie. Fałdziste kombinezony opuściły nogi z łóżek na ziemię. Ktoś stłumił głośne ziewnięcie.

Telefonista powiedział:

—Czerwona i żółta sekcja do maszyn.

Prot wydął policzki i odetchnął, jak gdyby z ulgą.

—Muszę lecieć—rzekł do mnie raźno.—Pan kapitan jeszcze tu zostaje?

—Tak. Zobaczymy się jeszcze. *Good luck.*

Uścisnął mocno moją rękę i trzymał ją przez chwilę w swojej twardej, kościstej dłoni.

—Jakoś mi lżej—powiedział.—Dziękuję.

Poszedłem do "*operation.*" Trzy telefony w "loży" odzywały się raz po raz:

—Hallo, Kora Kora. . . .

Ktoś się meldował, ktoś pytał o *fix*, ktoś brał czas, Q.D.M., pogodę. . . . Potem wyczekująco:

—Odbiór . . . odbiór . . .

Podawano im kursy, wysokości, rozkazy. Na czarnej tablicy zjawiały się krzyżyki i kreski znaczące drogę samolotów: czerwone, żółte, niebieskie, zielone, białe . . . Na wielkim kwadratowym stole z namalowanym wycinkiem mapy przesuwały się tabliczki i kolorowe strzałki układane przez kilkanaście telefonistek ze słuchawkami na uszach. Wszystko to, co się działo w ciemnościach nocy, daleko nad wielkim szmatem ziemi i morza, tu odbijało się, jako schemat w jasnym świetle lamp, w obliczu wielkiego zegara o tarczy podzielonej na barwne sektory..

Angielski *squadron-leader*, kościsty, długi, łysy jak kolano, przeglądał jakieś papiery i mruczał naprzemian: "*yes*" albo "*all right*" w odpowiedzi na meldunki swego pomocnika, czy adiutanta, półgłosem porozumiewającego się z oficerami, którzy wisieli u trzech telefonów operacyjnych. Sierżant wcinał na mapie pozycje, notował. Czasem dyskretnie burczał telefon z grupy myśliwskiej. Czasem ktoś wchodził, kładł papiery na stole, zabierał inne i wychodził.

Nie przenikały tu uczucia. Strach, poświęcenie, zaciekłość, nienawiść i bohaterstwo zostawały tam, w ciemnej nocy, w powietrzu. Tu były tylko chłodne, suche fakty. Powstawały z krwi, z nerwów, z bicia serc, ale wyrażane były symbolami cyfrowymi i geometrycznymi wykresami.

Telefon na lewo obsługiwał kędzierzawy blondyn z naszywkami *flight-lieutenanta*.

—Ada, Ada. *Red section flight B*. Odbiór . . . odbiór . . .

Zbliżyłem się: to była sekcja Prota. Usłyszałem jego głos:

—Hallo, Kora, Kora. Tu sekcja czerwona *flight B*. Odbiór . . . odbiór. . . .

Kędzierzawy spojrzał na czarną tablicę. Czerwone krzyżyki podciągały się łukiem ku białym kreskom, biegnącym z południa na północ.

—Hallo, Ada, Ada. Przed wami nieprzyjaciel, 15 stopni w lewo. Kurs 170. Odbiór . . . odbiór . . .

Flight-lieutenant opiera się lewą ręką o stół. Czeka. Słucha.

Cisza: pięć sekund, dziesięć sekund, piętnaście sekund. . . .

Wielka wskazówka skacze drobnymi susami, truchcikiem po niebieskim sektorze zegarowej tarczy, a ja, patrząc na nią, widzę oczy sierżanta Prota. Czujne, wytężone, wbite w ciemność, szukające odbicia poświaty gwiazd w skrzydłach niemieckiej maszyny. Oto ciemność gęstnieje w jednym miejscu: czarna plama na granatowym tle nieba. Czarna plama, która w ułamkach sekund gasi przed sobą, za sobą zaś zapala gwiazdy. . . . I—jedna z tych gwiazd przegląda się w wieżyczce astro!

—Hallo Kora — Kora — Widzę nieprzyjaciela. . . .

Flight-lieutenant mruga na mnie z uśmiechem. Słuchamy. . . . Zegar dalej mierzy czas truchcikiem: sektor biały—sektor żółty — — —

—50 yardów . . . otwieram ogień—melduje Prot, jakby mówił: "Otwieram książkę na 10-tym rozdziale."

Na czarnej tablicy czerwone krzyżyki wchodzą na białe kreski. Wskazówka zegara sięga czerwonego sektora. Już jest w jego połowie: to siedem sekund; to prawie kilometr lotu; to jakieś 1.500 wystrzelonych pocisków . . . Czy Prot jeszcze żyje?

Żyje; słyszę jego chrapliwy głos:

—Za śmierć Zośki. Za moje dzieci i żonę. . . .

Kędzierzawy jest nieco zgorszony: takich słów *King's Regulation* nie przewiduje w kodach rozmów lotnika z ziemią.

—Numer jeden czerwonej sekcji *flightu B* — Ada zestrzelił Niemca—oświadcza obojętnie, i na czarnej tablicy znika rząd białych kresek.

Porucznik Herbert

* Nazwiska osób oraz nazwy użyte w kodzie łączności lotniska z ziemią zmienione.

KONKURS NA UTWÓR SCENICZNY DLA AMATORSKICH TEATRÓW ŻOŁNIERSKICH, OGŁOSZONY PRZEZ WOJSKOWE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.

Z dniem 25 lipca br. upłynął termin zamknięcia konkursu na utwór sceniczny dla amatorskich teatrów żołnierskich, ogłoszony przez Wojskowe Biuro Propagandy i Oświaty.

W dniu 2 sierpnia br. Sąd Konkursowy w składzie przedstawicieli Szefa Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty, Samodzielnego Referatu Propagandy i Oświaty Dowództwa I Korpusu oraz przedstawiciela Wydziału Kulturalnego Inspektoratu Polskich Sił Powietrznych dokonał oceny nadesłanych prac i przyznania nagród.

Z nadesłanych na konkurs ogółem trzynastu prac dwie uznano za nieodpowiadające warunkom konkursu, dziewięć oceniono jako nieposiadające walorów, które kwalifikowałyby utwory do wykorzystania ich na scenie, dwie prace nagrodzono.

Pierwszą nagrodę przyznano utworowi pt. "W księżycową noc" (godło: "Niebo jest piekłem")—autor: K ą c z k o w s k i C z e s ł a w J e r z y, drugą utworowi pt. "W noc zawieszenia broni" (godło: "Matka i Jagusia")—autor: I w a n o w s k a Z o f i a.

Trzeciej nagrody, przewidzianej warunkami konkursu, nie przyznano żadnemu utworowi.—

Wszystkie prace poza nagrodzonymi są do odebrania w Wojskowym Biurze Propagandy i Oświaty, do dnia 1 września br.

Wspomnienia z obrony Warszawy

II.*

W Warszawie i na Prądze nie było spokoju. Nad nieszczęsnym miastem widać było płomienie kilkudziesięciu pożarów. Serce oblewało się krwią na widok niszczonej w tak bestialski i zbrodniczy sposób stolicy. Niebo było czerwone jak rozpalone żelazo. Ta potworna czerwono-żółta łuna oblewała z góry okoliczne budynki, twarze ludzi, a nawet jezdnie krwawo-czerwonym poblaskiem. Widok tych 50 czy 100 pożarów napełniał nas grozą do tego stopnia, że nawet przekleństwo nie przechodziło przez gardło.

Umówiłem się z dowódcami kompanii, że będziemy całą noc pracowali nad pogłębianiem rowów oraz nad wykonywaniem przeszkód przeciwczołgowych a w dzień spać. Było to z potrójną korzyścią: 1. żołnierze w nocy nie będą spać, a więc alarm będzie łatwy do przeprowadzenia, 2. nieprzyjaciel w nocy nie będzie mógł nic zauważyć i przeszkadzać w pracy, 3. w dzień żołnierze mogli spać wygodniej w piwnicach okolicznych, ocalałych budynkach, na słomie, a nawet na pierzynach i materacach, wyciągniętych z opuszczonych mieszkań. Prawdopodobieństwa trafienia już nie brano pod uwagę. Wiara żołnierska przyjęła to postanowienie z radością. Spać, nie na gołej ziemi, na której się spało dwa tygodnie, spać pod dachem, na pierzynach i materacach—jaka to roskosz! W dodatku do tego można zdjąć buty i mundur. Tego dawno, dawno nie było!

Dwa tygodnie wojny—a jakie są dalekie czasy pokoju. Na śmierć wszyscy w najwyższym stopniu zobojętnieli. Ot! Przeszła nawałnica ognia—jestem żywy, w nocy przyjdzie jedzenie i fasunek. Co więcej trzeba? Taka oto była w owych czasach filozofia żołnierska.

Na naszego żołnierza nie można było narzekać. Trzeba jeszcze wziąć jedną okoliczność pod uwagę. Były to już ostatnie dnie, kiedy nasza artyleria jako tako odpowiadała na ciężkie pociski Niemców. Bowiem straszne, a potem mrożące krew w żyłach hasło: "oszczędzać amunicję," już wisiało w powietrzy. Każdy kto wie co to jest przewaga ognia artylerii tej czy innej strony rozumie to hasło. Hasło to oznacza powolne jednostronne konanie tego, kto pierwszy zmuszony jest zastosować ten złowrogi nakaz.

Następny dzień upłynął mniej więcej tak samo. Znów kilku żołnierzy zasnęło snem wiecznym w mogiłach obok szosy.

W godzinach popołudniowych otrzymałem rozkaz wydłużenia prawego skrzydła dywizji przez obsadzenie odcinka: folwark Targówek wyłącznie—Utrata włącznie. W ten sposób miałem zamknąć lukę, która powstała podczas organizacji obrony między naszą 20-tą a 5-tą dywizją. Luka ta powstała na skutek niezbyt gęstego obsadzenia tego odcinka.

Objąć ten odcinek i zluzować tkwiącą tam kompanię z Warszawskiego Batalionu Obrony Narodowej mogłem tylko w nocy. Dla zapoznania się z tym odcinkiem musiałem pójść jednak tam z dowódcami kompanii w dzień. Wobec tego, że zmrok zapadał już o godz. 7-ej musieliśmy wyruszyć natychmiast.

Łatwo powiedzieć! Lecz jak to wykonać? Wyznaczony mi odcinek był w odległości dwu, trzech kilometrów od obecnie zajmowanego przy wylocie ul. Radzymińskiej, lecz, aby dojść do niego trzeba było pójść na Pragę i dopiero z Pragi t.j. od tyłu wyjść na niego. Bowiem o jakimkolwiek posuwaniu się wzdłuż frontu nie było mowy. Niemcy dokładnie wiedzieli co się dzieje na rozległych a zamkniętych tylko ogniem CKM'ów łąkach między poszczególnymi gniazdami obrony. Próbować przejść przez taką łąkę w dzień znaczyło ściągnąć na siebie i na najbliższe okopy huragan ognia.

Poszliśmy więc na Pragę ulicą Radzymińską. Posuwaliśmy się "skokami" od budynku do budynku jedynie na podstawie wyczucia, gdzie będą padały pociski. Gdy doszedłem do toru kolejowego, przecinającego ulicę Radzymińską, byłem mokry do ostatniej nitki. Za nasypem kolejowym odpoczęliśmy nieco. Na nasypie Bataliony Obrony Narodowej i "Obrońców Pragi" gorączkowo kopały okopy i rowy przeciwczołgowe, a także wznosiły barykady. Była to już trzecia linia obrony. Stamtąd skręciliśmy na Targówek, skąd ulicą ks. Ziemowita zaczęliśmy dążyć ku przodowi.

Na nasze szczęście zaczął padać deszcz: był to pierwszy deszcz od początku wojny. Z jaką rozkoszą szliśmy w tym deszczu! Ludzie, nie będący nigdy na wojnie współczesnej nie potrafią sobie nawet wyobrazić jaką radość przynoszą chmury i strugi wody padając z góry. Deszcz był dość silny. Pożary zmniejszyły się tak co do ilości jak i co do rozmiarów. Niemcy prawie zaprzestali strzelania. Ludzie w łachmanach, czarni od brudu i sadzy, z czerwonymi od łez i bezsenności oczami, często z zabandażowanymi głowami—powyłazili ze swych kryjówek i chciwie podstawiali naczynia pod ocalałe rynny. Wielu z nich z braku naczyń i rynien podstawiało dłonie pod strugi wody i w ten sposób myło sobie twarz i ręce.

Wreszcie dotarliśmy do naszego odcinka. Lewe jego skrzydło opierało się o I Batalion naszego pułku, prawe o 26 pułk piechoty. Odcinek miał ponad 2 km. długości. Niemcy byli w odległości niespełna jednego kilometra i zajmowali osadę na torze kolejowym z Warszawy do Rembertowa, noszącą nazwę "Kozia Górka." Między nimi a nami ścieliła się szeroka łąka częściowo zlekka podmokła. Na prawo za torem kolejowym były widoczne zabudowania Grochowa.

Na tym odcinku leżała rozsypana w rzadką tyralierę tylko jedna kompania, składająca się wyłącznie ze starych roczników rezerwy. Ludzie ci byli przybici ogniem do ziemi, zgnębieni żelazem, lecz w ciągu dwóch dni nikt się nie cofnął. Niemcy nie odważyli się atakować ich, albo nie wiedzieli o takiej słabej obsadzie, albo się bali nacierać po otwartej łące bez . . . czołgów. Bowiem jak dowiedzieliśmy się później cała broń pancerna Niemców już 14-15 września została wycofana z oddziałów otaczających Warszawę i wysłana na front zachodni. Natomiast ilość ciężkich karabinów po stronie nieprzyjaciela wzrosła w sposób fantastyczny. Gdy myśmy mieli na 2—2,5 kilometra frontu 10—12 c.k.m.'ów, oni posiadali na przestrzeni 1 i pół km. od 30 do 40 karabinów maszynowych. Takie nasycenie terenu bronią maszynową było podyktowane obawą wypadów z naszej strony. To też ci "bohaterowie" przy najmniejszym podejrzanym dla nich ruchu z naszej strony otwierali na oślep ogień z dziesiątków karabinów maszynowych i siali po ziemi marnując miliony pocisków.

Po upływie 15-20 minut nadszedł pluton łączności i zaczął budować nową linię telefoniczną do dowództwa pułku i do przyszłych stanowisk dowodców kompanii. Tę czynność można było wykonać, gdyż deszcz jeszcze padał. Zresztą zaczął zapadać zmierzch.

W nocy nadszedł batalion i zaczął się dla nas nowy fragment obrony stolicy. Na tym odcinku byłem od 16 do 19 września. Nie będę opisywał przebiegu walk z dnia na dzień, bowiem wszystkie dnie były do siebie bliźniaczo podobne. Przebieg ich przedstawiał się mniej więcej następująco:

Od godz. 8-ej rano do 10-ej a czasem do 11 w nocy Niemcy bez przerwy walili z artylerii. Ogień był prowadzony nawałami podobnymi do tej, którą poprzednio opisałem. Nawały te hulały bezkarnie po nas, sąsiednich odcinkach obrony, po Pradze i po Warszawie. W przerwach między nawałnicami był stosowany rzadszy ogień.

W nocy artyleria ich nie strzelała prawie zupełnie. Natomiast karabiny maszynowe w nieregularnych odstępach czasu zaczynały "grać" po naszych pierwszych liniach. "Grzanie" to było wściekłe, natarczywe i . . tchórzliwe. Już sam fakt strzelania w ciemną, niewidzialną przestrzeń w ciągu jednej a czasem dwu godzin, kiedy dziesiątki c.k.m.'ów jak gdyby jedne ścigając drugie terkotały, że nie było słychać nie tylko pojedyńczych strzałów, lecz nawet serii poszczególnych karabinów a tylko długie przeciągłe wycie zlewające się z piekielnym gwizdem setek tysięcy pocisków świadczył o strachu "bohaterów" ze swastyką przed naszymi działaniami w nocy. To wycie było wyciem tchórzliwego szakala, który potrzebuje żeru a zatem z niecierpliwością czeka na śmierć ofiary, której sam zadać nie może. Tak! Hitler potrzebował żeru dla "opinii publicznej." Przecież obiecał triumfalny wjazd do polskiej stolicy już na 8-my dzień wojny.

"Widowisko" to było zresztą nad zwyczaj piękne. Niemcy strzelali całymi taśmami, jedną po drugiej, przeplatając zwyczajne pociski, pociskami, które w nocy świeciły czerwonymi smugami. Setki takich czerwonych, świecących się nici przecinało czarną otchłań nocy. Czasem pociski całymi rojami pruły powietrze i rozbijały się o mury, drzewa i przydrożne słupy z suchym trzaskiem, dając w chwili zderzania się dużo znaczące i wymownie fioletowe błyski. Były to pociski dum-dum. Głowa ludzka po zetknięciu się z takim pociskiem idzie w drzazgi. To także był jeden z szeregu bandyckich sposobów przyśpieszenia kapitulacji stolicy. Straty jednak po takim ogniu były żadne. Co prawda głowy z rowu wysunąć nie można było a więc wygodne udoskonalanie okopów było niemożliwe.

Po jednym, drugim tego rodzaju strzelaniu żołnierze tak się z nim oswoili, że wystawiali z okopów deski od płotów i cieszyli się, gdy taka "racza" została przestrzelona. Zabawy te nie były szkodliwe, gdyż sterczące ponad okopami deski w nocy nie były widoczne.

W dniu 18 września kilka niemieckich samolotów zarzuciło ulotkami tak miasto, jak i pozycje obronne dookoła niego. Ulotki były następującej treści:

"*Obywatele!*

Poddajcie się! Czas powrócić do warsztatów pracy! Czas najwyższy przystąpić do naprawy zniszczonych domów Waszych. Poddajcie się a otrzymacie możność naprawienia tych krzywd, które w tak zbrodniczy sposób spowodował Wasz rząd!

Żołnierze!

Cenimy Wasze męstwo! Lecz to, czego żąda od Was Wasz dowódca jest zbrodnią! Złóżcie broń! Przechodźcie do nas z bronią. Każdy z Was po złożeniu broni zostanie puszczony na wolność i otrzyma możność udania się do swych rodzin."

Po otrzymaniu z nieba tej masy papieru w okopach panowało duże niezadowolenie z tego powodu, że papier na którym były drukowane ulotki, był zbyt twardy na robienie z niego skrętek do palenia machorki. Pocieszano się jednak, że te świstki nadają się na inne mniej ważne potrzeby. Innego efektu ulotki wroga nie wywołały. Zbrodnicza ich naiwność zbyt rzucała się w oczy. To też nie widząc skutków tego papierowego bombardowania, Niemcy poczęli przynaglać tak obywateli, jak i żołnierzy bardziej namacalnymi środkami.

Już w kilka godzin po ulotkach jeszcze straszliwsze nawałnice jak burzący wicher zaczęły znosić wszystko to, co jeszcze jako tako ocalało. Pod wieczór tegoż dnia zapaliły się składy "Polminu." Paliły się właściwie nie same składy, lecz ciężkie oleje i smary, które nie zostały wywiezione. Olbrzymie płomienie sięgające na kilkadziesiąt metrów wzwyż robiły wrażenie wulkanu. Wulkan ten jakby z dumą górował nad setkami dalszych i bliższych pożarów. Niebo już nie było czerwone, niebo raczej jak gdyby samo paliło się. Gdy wiatr wiał w naszą stronę, dym gryzł oczy. Ani my ani Niemcy nie porzebowali oświetlać łąki, która nas dzieliła. Bruzdy i kretowiska na niej odbijały się czerwonym kolorem znacząc od strony przeciwnej w stosunku do miasta czarne linie i czarne plamy.

Lecz i tego było Niemcom mało! Pomimo fantastycznego oświetlenia łąki, pomimo licznych rakiet oświetlających, które stosowali jednak "na wszelki wypadek," pomimo tych rojów świecących się kul, które raz po raz z dzikim gwizdem przerywały groźną ciszę czerwonej nocy, żołnierze Hitlera, aby tym pewniej zabezpieczyć siebie w czasie nocy, systematycznie ze spokojem najbardziej wyrafinowanego bandyty-podpalacza, zapalali z zapadnięciem zmroku jeden z domów w miejscowości "Kozia Górka", która była w ich rękach! W tym podpalaniu była iście niemiecka systematyczność i z chwilą gdy jeden dom zaczął dogorywać i światło stawało się co raz mniejsze, zaczynał płonąć drugi i przedpole przed "bohaterami" znów było oświetlone.

Tak oto nieszczęsna "Kozia Górka" w ciągu kilku tygodni odgrywała rolę świeczki. Gdy domów zabrakło Niemcy zaczęli używać do tej roli wagonów towarowych, lecz to dawało im mniejszy efekt oświetleniowy. Zabezpieczało to ich jednak tylko wtedy, gdy sztuczne a tak starannie podtrzymywane przez całą noc światło funkcjonowało. Lecz oto, którejś nocy zaczął padać dość silny deszcz /niestety drugi i ostatni w czasie oblężenia stolicy/. Niemcom jakoś nie udawało się podpalić żadnego domu, przynajmniej żadnego pożaru na "Koziej Górce" nie było.

Przedpole tonęło w ciemnościach. Niemieckie rakiety wściekle pruły powietrze, kilka razy rozpoczynało się raptownie piekielne wycie dziesiątek ckm'ów i gwizd całych chmar czerwonych nici rozdzierał ciszę nocy.

Nikt w batalionie nie spał. O godz. 1-ej /nie pamiętam daty/ przyszło pisemne zawiadomienie, że na "Kozią Górkę" pójdzie wypad jednej kompanii 26 pułku piechoty, który wojna sprowadziła ze Lwowa aż do Warszawy, oraz rozkaz zabraniający strzelania w tym kierunku. Istotnie po jednym z takich kolejnych niemieckich strzelań w 10-15 minut po przerwaniu ognia przez Niemców, na "Koziej Górce" zaczęły rwać granaty ręczne. Granaty te rwały najwyżej 3-5 minut. Potem nastąpiła cisza.

Cisza ta jednak nie trwała długo. Istne morze ognia i żelaza nieprzyjacielskiego spadło na męczeńskie osiedle naszych kolejarzy. Biło przynajmniej 5-6 dywizjonów ze strony Kawęczyna, Rembertowa, Grochowa i . . . kilka z tamtej strony Warszawy, kierując ogień poprzez całe miasto. To była dalekonośna artyleria. Ogień był tzw. "do pola". Niemcy widocznie nie będąc przygotowani na ogień . . . po własnych stanowiskach pokryli ogniem kilka hektarów ziemi, pośrodku których według ich obliczeń z mapy była ta miejscowość.

Jak zranione zwierzę, całą swą wściekłość ładowali w działa razem z pociskami. W kilka minut ogień ich artylerii rozprzestrzenił się na sąsiednie odcinki obrony oraz na Pragę. Był to ogień zaporowy. Niemcy obawiali się ogólnego natarcia. Jak porywy wichru czasami słabną, aby po chwili ze zdwojoną energią i z kilkakrotnie silniejszym natężeniem walić w przedmioty będące na powierzchni ziemi, żeby je tym pewniej zniszczyć, tak "ich" ogień czasami słabnął, aby po chwili przeistoczyć się we wszystko burzący huragan żelaza.

Tak było do świtu. Jeszcze w dniu poprzednim na "Koziej Górce" były pojedyńcze drzewa, gdzie niegdzie stały stogi siana i sterty zebranego zboża oraz tkwiło kilka budynków zarezerwowanych na "oświetlenie" przedpola. Z brzaskiem dnia nawet te nędzne pozostałości dorobku ludzkiego "Koziej Górki" zniknęły. Nie pozostały nawet zgliszcza i ruiny. Wszystko zostało zniszczone i zmiecione.

Po ognisto-czerwonym nocnym piekle nastąpił cichy, mglisty poranek. Słońce, jakgdyby wstydząc się ukazać na ziemi, długo skrywało się za białawą, jesienną mgłą. Gdy nareszcie mgła o godzinie 10—11 opadła, zobaczyliśmy, że Niemcy zdążyli już prawie wszędzie postawić jeden rząd z drutu kolczastego.

Arnold Jaskowski



Jan Sterling: Warszawa—listopad 1939 (drzeworyt)

* Por. nr. 33 "Polski Walczącej." W tym numerze znajduje się pierwszy z cyklu drzeworytów Jana Sterlinga p.t. "Warszawa—wrzesień 1939."

Japonia wczorajsza i dzisiejsza (II)

Wanatabe-San wychodzi na podbój świata

W połowie ubiegłego stulecia Stany Zjednoczone były narodem morskim. Na szlaku amerykańskich Clipperów, szybkich żaglowców, wiozących herbatę z Chin, leżała zamknięta na cztery zamki, Japonia, dziewiczy, niewykorzystany rynek. Było to nie do zniesienia i w rezultacie Komandor Perry siłą wjechał do zatoki Jokohama i otworzył Japonię dla "Białego Człowieka" wylotami amerykańskich dział.

Była to bardzo ponura epoka w dziejach stosunków Europy z t.zw. "ludami kolorowymi." Pycha wyrosła na gruncie Rewolucji Przemysłowej przede wszystkim, pozwalała Europejczykom na traktowanie ludzi o cokolwiek odmiennej skórze mało co lepiej od bydła. W tym czasie kolonizatorzy europejscy niszczyli gwałtownie tubylcze organizmy państwowe. Amerykanie robili to na Oceanie Spokojnym, Anglicy w Indiach, Francuzi w Afryce. Wszędzie demoralizowano i deportowano miejscowych książąt i wezyrów, sprowadzając na ich miejsce urzędników europejskich, dzieląc ziemię pod sznur i wtłaczając "dzikich" w perkalikowe koszule. Trudno się temu dziwić. W XVIII i XIX wieku kolonizatorzy rzadko kiedy byli idealistami i przede wszystkim dbali o zysk. Doskonałe wyniki przystosowania europejskich zdobyczy do miejscowych zwyczajów—wielkie dzieło Jezuitów w Chinach w XVI wieku, zostało zapomniane.

Władcy Japonii zdali sobie sprawę po wejściu w orbitę międzynarodowego handlu, iż grożą im losy Wielkiego Mogoła, królestw Hawajów, Agra i Udh, Dahomeju i Madagaskaru. Jednocześnie nastąpił olbrzymi wstrząs wewnętrzny. Tenno—zamurowany cesarz—pokonał Szogunat.

* * *

W r. 1853 Komandor Marynarki St. Zjedn. wciągnął Japonię do handlu zewnętrznego. Szogun zrozumiał, iż świat jego i system polityczny Japonii ma się ku końcowi. Mimo to Rada Dajmiów, autonomicznych książąt pragnęła za wszelkę cenę utrzymać dawne prawa i nie wpuszczać Europejczyków.

W Japonii rozgorzała wojna domowa. Dajmio Hikone, poplecznik Szoguna, morduje Dajmia Mito. Klan Czoszu, pilnujący cieśnin do wewnętrznego morza dookoła Szimoneseki wita ogniem artylerii przejeżdżające okręty cudzoziemskie. Wreszcie wasale Dajmia Satsuma mordują obywatela angielskiego Richardsona. Europa reaguje twardo i szybko. Miasto Kagoszim, stolica klanu Satsuma, zostaje zbombardowane i spalone, a klan Czoszu ma wypłacić olbrzymią, jak na owe stosunki, kontrybucję 3 milionów dolarów.

Dajmiowie i Samuraje walczą ze sobą. Wojenne okręty europejskie co raz częściej zawijają u brzegów Japonii, nawet u wejścia świętego miasta Kioto, gdzie rezyduje cesarz.

W r. 1865 urzędujący Szogun zrzeka się władzy, którą przekazuje ostatniemu dzierżycielowi Szogunatu i ostatniemu Tokugawie, faktycznemu władcy Japonii, Keiki. Wydaje się, iż jeszcze parę lat, a Japonia podzieli los Chin i odstąpi część terytoriów jako koncesje dla Europejczyków. Na tron cesarski wstępuje właśnie w tym czasie nowy Tenno-Mutsuhito.

O osobie jego pisano wiele i zachwycano się władcą, który pomiędzy 1875 a 1905 r. potrafił przeobrazić swoje posiadłości z drugorzędnego państewka azjatyckiego w mocarstwo, ale dzięki specyficznym stosunkom japońskim tajemnica tego człowieka pozostanie niezbadana. W Japonii cesarz jest bogiem, nie w przenośni czy w symbolu, ale takim samym bóstwem, jak jego legendarna prababka Kwannon. Dyskutowanie okoliczności i przyczynków do jego życiorysu jest nieprzyzwoitością w najwyższym stopniu. Przed paru laty profesor prawa konstytucyjnego na Uniwersytecie Tokijskim, liberał, ogłosił drukiem pracę na temat ustroju Japonii. Osoba cesarza—zdaniem jego—jest nieodzowną tradycją ustrojową. W kilka dni później został on zamordowany przez sfanatyzowanych zamachowców za "bluźnierstwo." W podobnych warunkach praca historyczna na temat domu panującego jest wykluczona i nigdy prawdopodobnie nie dowiemy się, jakim sposobem młodzieniec zamurowany nieomal w pałacu w Kioto zdobył się na wysiłek woli i umysłu potrzebny do przejęcia państwa w swoje ręce i pokonania tysiącletnich tradycji, skutecznego przetworzenia narodu bardziej radykalnego i gwałtownego, aniżeli reformy Piotra Wielkiego, komunistów czy innych.

W r. 1871 dekret cesarski, wydany nad głową Szoguna, znosi niezależność lokalną Dajmiów i klanów. W r. 1876 odebrano Samurajom pensje i zakazano noszenia szabel. Było to wielkie poświęcenie, ale przyjęli oni zarządzenie bez szemrania. Jeden tylko potężny klan Satsuma zbuntował się. Wystawił on 30.000-ną armię i podjął beznadziejną walkę z cesarzem. Kampania rozpoczęła się w styczniu 1877 r. i ciągnęła przez 9 miesięcy. Przeszło 35.000 ludzi złożyło życie w ostatnim starciu świata średniowiecznego ze światem nowoczesnym. Szogunat został zniesiony.

Mutsuhito nie mścił się nadmiernie i natychmiast po zakończeniu działań wojennych przystąpił do odbudowy kraju. Dobrał do tego dzieła radę przyboczną składającą się z 55 osób wybranych z pośród wszelkich klas społecznych. Dzieło ich i szczególniej najwybitniejszego męża stanu tej grupy, księcia Ito, jest ogólnie znane. W 1889 r. Japonia otrzymała konstytucję wzorowaną na francuskiej. Japonia rozpoczynała dopiero przemianę.

W 50 lat później potężna Japonia, posiadająca wielomilionową armię, zdławiony parlament, potężne polipy kapitalistycznej gospodarki w najgorszym wydaniu w postaci koncernów Mitsui i Mitsubiszi, wszelkie bolączki i kłopoty nowoczesnego imperium przemysłowego, odrzuciła konstytucję jako bezużyteczny instrument. Tym bardziej nieprzyjemny, bo przypominający okres, kiedy chorobliwie dumni potomkowie szlachty i chorobliwie ambitni potomkowie chłopów podniesieni przez reformy do godności dziedziców państwa, musieli korzystać z "białych" instruktorów, udzielać koncesji niezawsze subtelnym kupcom z Ameryki i Europy, przemilczać jakże często zniewagi i obelgi, przy czym jednak Europejczycy mało albo prawie że nie znający kraju najczęściej nie zdawali sobie z tego sprawy. Sentymentalna skądinąd ramota Claude Farrera o Markizie Yorisaka bardzo dobrze odmalowała te stosunki.

Europa nie zdała sobie sprawy z głębokich przemian społecznych w Japonii. Najczęstszym typem rewolucji jest równanie w dół. Znosi się tytuły, morduje arystokrację, zaniedbuje czyszczenia paznokci i likwiduje maniery przy stole—wszystko jako dowód "uobywatelnienia." W Japonii zaszedł znacznie rzadziej spotykany wypadek rewolucji równania w górę. Cesarz nie zniszczył samurajów wrogich mu, a popierających Szoguna. Nie wyzwolił chłopów z niewoli gospodarczej i społecznej. I jednych i drugich zlał w nową niepomiernie szerszą warstwę neo-samurajów, żołnierzy, policjantów, marynarzy, urzędników, szpiclów, sług nowoczesnego państwa wszelkiego rodzaju.

Nowa warstwa odziedziczyła dziwnym trafem przeważnie złe cechy swoich czynników składowych. Państwo temu pomogło. Oficer japoński bowiem otrzymuje głodową, na stosunki japońskie, pensję, a poza tym posiada zawiść i ciasny pogląd na świat chłopa i jego skąpstwo i jego pożądliwość cudzej ziemi. Po szlachcie odziedziczył butę, nieliczenie się z cudzym życiem i wyniosłość. Nie ma jednakże ani pięknych cech skromności, pracowitości i dobroci swoich chłopskich przodków, ani szlachetności, wielkoduszności, osobistej odwagi, artystycznego temperamentu starych samurajów.

Winny temu jest "Biały Człowiek" ze swoim brakiem zrozumienia cudzego punktu widzenia charakterystycznym dla t.zw. "nowoczesności." Nie dostrzegł on, że Wanatabe-San ma duszę wrażliwą i delikatną. Samozwańczy pan kuli ziemskiej nie zrozumiał, iż tam gdzie jedno dobre słowo będzie pamiętane przez pokolenia, jedno złe słowo poruszy lawinę nienawiści. W Japonii stało się to ze dwa pokolenia temu. Wanatabe-San odczuł zniewagę i nie chciał już potem widzieć uwielbienia dla siebie, jakie stało się modne po wojnie rosyjskiej. Zresztą i wówczas w Ameryce był obywatelem drugiej, jeżeli nie dalszej klasy.

Wanatabe-San zaczął nienawidzieć Europę i "białych" w ogólności mocnym i jasnym płomieniem nienawiści dotkniętego do żywego neurastenika. Pozorny pokost zachodniej cywilizacji niknie co raz bardziej w Japonii.

"Czarny Smok" terrorystyczna organizacja, podnosi głowę. W końcu ubiegłego stulecia tajne bractwo obrażonych patriotów morduje ówczesnego premiera markiza Okuma w r. 1892. Japonia jednak usiłuje wówczas przekonać Europę, iż jest państwem liberalnym i "Czarny Smok" zostaje zduszony.

Podnosi on swój łeb znowu w okresie światowego kryzysu gospodarczego. Patronem organizacji jest stary zbrodniczy dureń Mitsuru Toyama, fanatycznie nienawidzący już nie tylko Europy, ale wszystkiego co nie jest "starojapońskie." Zamachy stają się nagminne. Jeszcze w r. 1921 ginie premier Hara z ręki "Czarnego Smoka." W r. 1932 zostaje zamordowany baron Dan, szef koncernu Mitsui. Zamachowcy "likwidują" w tymże samym roku premiera Hamaguchi i dawnego ministra skarbu Inouye. W rok później ginie premier Tsuyoshi i minister Makatsuki. W r. 1935 generał Nagata szef wydziału operacyjnego sztabu przenosi się do wieczności w przyśpieszonym tempie. W następnym roku "Czarny Smok" ma swój wielki benefis. Cały gabinet admirała Okada zostaje wymordowany w bestialski sposób. W Tokio dochodzi do buntu wojsk przeciwko "nowatorom, kapitalistom i liberałom." Zbuntowane oddziały oczywiście "kładą się posłusznie pod święte stopy cesarza."

Odtąd Japonia wkracza zdecydowanie na drogę "boskiego posłannictwa rasy Jamato panowania nad światem." Toyama awansował na proroka. Pogrobowiec własnych idei, umiera w 4 lata później książe Saijonii ostatni z żyjących doradców Mutsuhito z czasów heroicznej przebudowy państwa. Do końca dni swoich był on żyjącym zaprzeczeniem niezmiernie szkodliwego twierdzenia Kiplinga o tym, że Wschód jest Wschodem, a Zachód Zachodem, i nigdy nie zetkną się one ze sobą. Saijonii, "lew" dworskich balów Napoleona III-go, do końca życia wierzył gorąco w równość, wolność i braterstwo i przepadał za kawą z mlekiem i paryskimi "*croissants.*" Razem z nim poszedł do grobu symbol pokojowego, harmonijnego rozwoju Japonii.

Dziś Wanatabe-San wierzy, że jest niezwyciężonym członkiem rasy Jamato, a jako proroka słucha Toyamę, wieszcza politycznych morderstw.

Wanatabe-San nienawidzi swoich bankierów, choć dostarczają mu "zachodniej" broni, nienawidzi pocałunków publicznych, sukien europejskich, wszystkiego co nie jest wynaturzonym, histerycznym, przesadnym obrazem "starej Japonii."

Wanatabe-San jest groźnym i przebiegłym wrogiem Europy, czy raczej "białego człowieka" biorącym natchnienie ze stu szkół sztuki picia herbaty i układania kwiatów, które jak grzyby po deszczu wyrastają w Tokio, z książek oficerów marynarki cesarskiej p.t.: "Jamato panuje nad światem."

Ma on jednak niezmiernie istotną słabą stronę,—swoją nerwową, uczuciową naturę. Zdaje sobie sprawę, iż z chwilą pierwszej poważnej klęski politycznej czy wojennej bardzo łatwo może mu "stwardnieć brzuch" i wówczas niewiadomo, jakie klęski spadną na Japonię.

Dlatego też Wanatabe-San jest brutalny wobec Chińczyków i sprzymierza się z brutalami. Podobnie dzieci głośno śpiewają, idąc nocą przez las.

Marian Synkowski

Por. w poprz. numerze "Polski Walczącej" pierwszy artykuł cyklu: "Wanatabe-San żyje zamknięty na wyspach."

Wojna na morzu

"Nie oddano ani jednego strzału, ani jednej bandery państw osi nie widzieliśmy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, a Islandią,"—oświadczył pułkownik Knox na konferencji dziennikarzy amerykańskich w dniu 16 sierpnia,—"od chwili, gdy okręty U.S.A. rozpoczęły patrolowanie na tym szlaku." I przymrużając jedno oko, dodał sarkastycznie: "W tej strefie zatapianie statków ustało zupełnie . . . z tych czy innych powodów."

A tymczasem Prezydent Roosevelt zrobił niedwuznaczną manifestację morską, spotykając się na Atlantyku z Premierem Wielkiej Brytanii na trzydniowej konferencji, która odbyła się częściowo na brytyjskim okręcie liniowym "Prince of Wales," a częściowo na amerykańskim krążowniku "Augusta" (klasa "Northamton," bud. r. 1930. tonn: 9,050; węzły: 32; 9 dział 8 cal. 4 działa 5 cal. p.l.). Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że poza protokółem ogólno-politycznym, rozgłoszonym na cały świat powzięto szereg decyzji o zasadniczym znaczeniu dla walki na morzu, a dla "bitwy o Atlantyk" w szczególności. Ze strony brytyjskiej na tej oryginalnej konferencji na morzu był obecny Admirał Sir Dudley Pound—pierwszy lord morski, zaś ze strony U.S.A. Admirał King—dowódca floty atlantyckiej i Admirał Stark — Szef Morskiego Biura Operacyjnego.

Oficjalnie dotąd nie wiadomo, gdzie właściwie odbywała się ta historyczna konferencja, choć dzienniki północno-amerykańskie przypuszczają, że miejscem spotkania był port amerykański Portland Maine. Według tych informacji w Portland została zgromadzona większość okrętów wojennych U.S.A. z jednej eskadry atlantyckiej, a zarówno wejście do portu, jak i morze w szerokim promieniu od Portland było przez cały czas pilnie strzeżone i patrolowane. Wiadomo, że przed amerykańskimi reporterami nikt i nic się nie ukryje . . . nawet jeśli by "odkrycie" przez nich zrobione, miało przynieść szkodę. Sensacja przede wszystkim.

* * *

Na Ukrainie marszałek Budienny doznał porażki, a przez to Rosja została odcięta od dwóch ważnych baz na Morzu Czarnym: Odessy i Sewastopola. Czarnomorska eskadra bolszewicka, jak dotąd wykazała mało inicjatywy, ale spełniła swoją rolę o tyle, że zablokowała porty rumuńskie i bułgarskie, nie dopuszczając do wykonania niemieckiego planu "inwazyjnego." Niemcy bowiem w portach Konstanzy i Warny nagromadzili ogromne ilości barek, kutrów, łodzi, na tych stateczkach, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zamierzając dokonać desantu na wschód od Odessy, albo na Krym, gdyby wojsko na lądzie nie posuwało się dosyć szybko. Był to plan śmiały i bardzo ciekawy, jeśli chodzi o . . . możność naśladowania go gdzie indziej.

Jeśli zaś chodzi o Morze Czarne doniosłe oświadczenie zrobiła Rosja w deklaracji wspólnej z Brytyjskim Rządem Jego Królewskiej Mości, przyrzekając Turcji pomoc w razie agresji. Po raz pierwszy bowiem w historii wyrzekła się wszelkich pretensji do Bosforu i Dardaneli, czego dotąd nie zrobił nigdy żaden rząd rosyjski, carski, republikański czy bolszewicko - dyktatorski. Dla przyszłości Morza Czarnego jest to deklaracja olbrzymiej wagi, przekreślająca ewentualnie wiele niepotrzebnych sporów i zawiści.

* * *

Na Atlantyku w ostatnim tygodniu nie zaszły ciekawsze wydarzenia wojenne. Ciekawa jest natomiast gorąca dyskusja, jaka wybuchła w prasie amerykańskiej i angielskiej na temat tonnażu budowanych obecnie statków i ich szybkości. W rezultacie polemiki większość fachowców na łamach pism doszła do wspólnego wniosku, że powinno się budować statki o stosunkowo, jak na statki handlowe, dużej szybkości 15, 16 węzłów i stosunkowo również dużym tonnażu: 6,000 do 10,000 tonn. Pozwoli to na większy i szybszy "jednorazowy obrót" i wymagać będzie mniejszej ilości ludzi, którzy w miarę rozwijania się "bitwy o Atlantyk," stają się co raz cenniejsi. O dobrych fachowców, o dzielnych i przedsiębiorczych kapitanów, o załogę pokładową i maszynową może być co raz trudniej. To też "polityka budowy nowych statków" nie tylko w Anglii, w Dominiach, ale również i w Stanach Zjednoczonych powinna pójść po drodze jak największego oszczędzania "materiału ludzkiego" i czasu.

Pisma amerykańskie przepełnione są po dziś dzień opisami zatopienia "Zamzam" (egipskiego transportowca, na którym było dużo obywateli U.S.A.) i amerykańskiego frachtowca, zatopionego niedaleko Pernambuko. Oba statki przyłapane były, jak się okazało, przez "niemiecki krążownik pomocniczy," t.j. przez handlowy statek, uzbrojony i odpowiednio przerobiony. Starym zwyczajem niemieckim zbliżał się on do ofiary pod banderą norweską, albo neutralną szwedzką i, dopiero w ostatniej chwili, otwierał ogień i wywieszał wojenną banderę niemiecką. Oczywiście, że gdy Anglicy przyłapią takiego "mistyfikanta" rozprawiają się z nim, jak ze zwykłym piratem. Widać z tych danych, że korsarstwo podwodne i powietrzne przestaje się Niemcom opłacać i gorączkowo szukają co raz nowszych (a starych, jak świat i oceany) sposobów, aby nie osłabić walki na Atlantyku, która jednak mimo to zamiera i słabnie, a w razie otwartego wejścia U.S.A. (co nie jest już teraz "niemożliwe") zamrze całkowicie.

* * *

Gazety doniosły, że "Admirał Sir Andrew Cunningham w odezwie do Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie podkreślił wybitne czyny polskiej Marynarki Wojennej, której okręty bywały i pod jego dowództwem."

Polska Marynarka Wojenna ma dobrą sławę u naszych sprzymierzeńców. Tę zaś sławę zawdzięcza nie tylko efektownym czynom, jak n.p. zachowanie się "Pioruna" podczas pościgu za "Bismarckiem," ale również i rzetelnej i ciężkiej, a nad zwyczaj niebezpiecznej pracy konwojenckiej i patrolowej, którą nasze okręty wykonują dzień w dzień, noc w noc od dwu lat nieprzerwanie. Ciekawe byłoby zestawienie ilości mil morskich przebytych przez nasze kontrtorpedowce i okręty podwodne, zestawienie ilości ataków przedsiębranych przeciw piratom podwodnym i ilości przetrwanych i odpartych ataków powietrznych. Takie dane są obecnie bardzo trudne do zrobienia, ale przyjdzie czas, że będzie można je podać do wiadomości publicznej. Wówczas szeroki ogół polski przekona się, że tak jak ze swego wspaniałego lotnictwa i lotników może być dumny ze swej Marynarki i ze swych "granatowych chłopców"—marynarzy.

Londyn, 16 sierpnia 1941 r.

Bohdan Pawłowicz

Z życia obozów

Z Polską po Szkocji

Gdyby Aleksander hr. Fredro wiedział, że w roku pańskim 1941, w przedziwnych, wojennych warunkach będzie swą "Zemstą" podbijał żołnierskie serca, słuchające jego boskich rymów z zapartym oddechem, a wylewające prawdziwą radość kaskadą szczerego śmiechu—napewno płakałby ze szczęścia. Łzy płynęłyby ciurkiem, a rękopis drżałby ze wzruszenia, podobnie jak dziś, w roku pańskim 1941 drżą wykonawcy "Zemsty," gdy walą się na nich po każdym przedstawieniu słowa gorącej podzięki i prawdziwego zachwytu.

Dlaczego "Lotnicza Czołówka Teatralna," jako pierwszą sztukę programu wybrała właśnie fredrowską "Zemstę" — nie wiem.

Może dlatego, by propagować tak bardzo nam potrzebną, zawsze aktualną, a niezbyt chętnie szukaną "ideologię" zgody;

może, by podkreślić, że nie czas teraz na małe i śmieszne spory w bratnim gronie, kiedy walą się z łoskotem "mury graniczne" wielkich państw;

a może chciano, rzucając ze sceny czyste polskie słowo, przypomnieć tym wszystkim, którzy czy to nieświadomie, czy też z nierozumu, kaleczą język polski, zniekształcają okrutnie, że są pięknokradcami!

Wreszcie może sam tytuł—Zemsta—zadecydował o wyborze—nie wiem.

Ale jedno wiem napewno: wszyscy łakniemy polskiego teatru i nie zdoła nasycić naszego pragnienia żadna tego rodzaju impreza niepolska.



START

Po ośmiu tygodniach prób, robionych w czasie wolnym od zajęć służbowych, dnia 1 lipca 1941 roku, odbyła się premiera "Zemsty." Ten dzień więc należy uważać za moment startu Lotniczej Czołówki Teatralnej.

Każdy, kto interesował się lotnictwem wie, że o wiele łatwiej jest wystartować na lekkiej maszynie turystycznej, niż np. na 4-ro motorowym bombowcu. "Krowa" taka wlecze się po lotnisku długo, wolno i od niechcenia podnosi ogon, nim wreszcie zdecyduje się na odczepienie od ziemi.

Lotnicza Czołówka Teatralna startowała długo i ciężko. Lotnisko, z którego miała ulecieć nie było dostosowane do wymogów najnowszej, 4-ro aktowej maszyny typu "Melpomena Nr. 1"—wzór: "Zemsta" — wg. Al. Fredry.

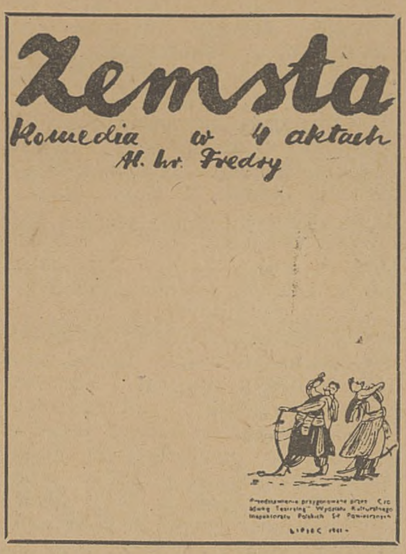
Stacja meteorologiczna z końca czerwca komunikuje: silne zachmurzenie na obliczach czynników miarodajnych, spowodowane troską "czy się uda—czy warto," porywisty wiatr kłopotów finansowych, obfite opady trudności artystycznych, mających miejsce wszędzie tam, gdzie wchodzi w grę repertuar klasyczny.

Próby jednak odbywają się, pieniądze prawie że spadają z nieba, t.zn. prywatnie zostają pożyczone, dekoracje i kostiumy na warsztacie.

Nadszedł dzień 1-go lipca i "Melpomena Nr. 1" dała pełen gaz, by w cztery dni po premierze zjawić się na terenie Szkocji i zrzucać tam cały swój ładunek fredrowskiego humoru. Zaobserwowano liczne pożary płonących zadowoleniem serc polskiego żołnierza, wybuchy szczerego śmiechu, detonacje oklasków.

Lot na pierwszym odcinku trwał miesiąc. W tym czasie poddano bombardowaniu 26 objektów przyjacielskich i "wylatano" łącznie 52 godziny staropolskiego animuszu.

Straty własne: 10 serc aktorów, zostawionych na szkockiej ziemi u żołnierzy polskich sił lądowych.



WŚRÓD SZARYCH KOCÓW

Przyszło ich ośmiu—"zmotoryzowane ułany"—wyznaczeni "na ochotnika" do robienia sceny.

Pracowali "przy sztuce" cały dzień. Zszywali koce na kurtynę, znosili stoły, z których rosła estrada, instalowali światło, zamiatali salę—z niedowierzaniem spoglądali na przywiezione dekoracje.

Wreszcie, w pustej jeszcze przed kilkoma godzinami świetlicy, zaczyna być rojno. Wyczekujące ciekawie oczy zwrócone są w kierunku sceny: szarej, niezgrabnej, z żołnierskich koców urządzonej.

Rozpoczyna się przedstawienie.

Koce, które do tej pory udawały kurtynę—ustępują, a na przepełnioną widownię spada jakiś czar. Nieznana siła przerzuca nagle widzów na "piękne dobra w każdym względzie," na polską glebę wyśmienitą. . . .

Stąd, ze Szkocji, z któregoś tam szwadronu Kawalerii Zmotoryzowanej—wyciągnął Fredro wszystkich bez wyjątku i wpuścił do Polski. Posadził na zamku, którego właściciele: Cześnik Raptusiewicz i Rejent Milczek wiodą zażarty spór o dziurę w murze. O dziurę w murze!!!

Każe więc Fredro śmiać się z ich zaciętości niemądrej—bawi. Każe wraz z Wacławem i Klarą pragnąć zgody—uczy. Dźga tych ułańskich zuchów melodią polskiego języka—u p o m i n a. . . .

I tak przez dwie godziny.

Wreszcie końcowa scena: zapanowała zgoda "równie w sercach jak i w dziele"—następuje pojednanie dwuch skłóconych sąsiadów—sala głuchnie od braw.

Wacław nie może przecisnąć się przez ciżbę oklasków, by powiedzieć ostatnie słowa sztuki:

"Tak jest, z g o d a
A Bóg wtedy rękę poda!"

Więc wszyscy pragną zgody. Jak jeden ułan, marynarz, artylerzysta, saper, piechur, pancerniak i lotnik—w s z y s c y!

Spada kurtyna zszyta z ułańskich koców, ale czar nie prysnął. Jeszcze wszyscy są w Polsce, jeszcze widzą kontusze, karabele, słyszą piękny język . . . i to im zostanie na bardzo długo—"i to jest drugi czar. . . ."

A ci ułani, wyznaczeni "na ochotnika" do przygotowania sceny, zjawili się za kulisami, by roztrzęsione wzruszeniem dusze aktorów porwać do ostatka. Przyszli powiedzieć krótko, ale jakże wiele: "dziś robota naprawdę opłaciła się. . . ."

Dumni byli, że między kotarami, które szyli, że na scenie, którą cały dzień ustawiali—chodziła Polska.

Sama przyszła i została z nimi na bardzo długo. . . .

KSIĄŻKA NAJDROŻSZA

Chociaż to było tak niedawno—przed paru dniami—przerzucamy naszą książkę pamiątkową z takim przejęciem, jak człowiek, który dostał klucz do rodzinnego kufra i szpera w zawartych w nim pamiątkach najbliższych.

Zamyka ona na swych kartach wzruszenia widzów, będące dla "czołówkarzy" podzięką za ciężką pracę i bodźcem do dalszej służby krzewienia czystego słowa polskiego.

Wierzymy, że życzenia wlane w nią muszą się spełnić. Napewno się spełnią! Tego gorąco pragniemy,—poto żyjemy.

—"*Życzymy naszym lotnikom równie udanej Zemsty nad Berlinem.*"—

—"*Zemsta sprawy tej*
przyczyna,
Że gruz sypie się z Berlina
A gdy zemsta dopomoże
Wrócim znów nad Polskie
Morze."—

Posypie się gruz z Berlina, wrócimy nad Polskie Morze—wierzymy!

—"*Zebrani na przedstawieniu Zemsty wojacy z A . . . przeżyli piękne chwile i wzruszenia, które łączą nas z przeszłością i dodadzą sił ze staropolskim animuszem wkroczyć do Nowej Polski Przyszłości.*"—

Jakże bardzo Nowa Polska Przyszłości czeka. Czeka na ludzi przepełnionych staropolskim animuszem, chęcią do najcięższej pracy.

Takich tylko zechcą wchłonąć fabryki, biura, szkoły—jedynie dla takich będzie miejsce w Polsce Przyszłości.

Niechże więc tryska z naszej postawy żołnierskiej animusz staropolski!

A tym wszystkim, którzy na terenie Szkocji pozwolili nam przeżyć wspólnie piękne chwile wzruszeń—lotnicze Bóg Zapłać!

P.S. "Melpomena Nr. 1" startuje do lotu okrężnego przez Polskie Stacje Lotnicze.

Mieczysław Pawlikowski

Okładka i ozdobniki programu według projektu Jerzego Faczyńskiego.



List marynarza

Bawiąc na urlopie, na usilne prośby moich londyńskich przyjaciół, staram się napisać parę wierszy o naszym życiu na morzu i w Wielkiej Brytanii. Inne rodzaje broni dosyć rozlegle rozpisywały się o swoim życiu, jedynie o naszej marynarce jest bardzo cicho. Jest to w pewnej części winą nas marynarzy, ale na naszą obronę mamy to, że nie jest to z lenistwa, jak to może niektórzy sądzą, ile z braku czasu. Ten, kto morze zna, napewno zdaje sobie sprawę z naszej ciężkiej pracy, którą wypełniamy bez względu na porę dnia, czy pogodę. Dla nas nie ma świąt, lub jak kto woli niedzieli, gdyż pracy mamy po uszy. Odpoczynki po miesiącach pracy liczy się na doby, nieledwie na godziny, gdyż będąc w porcie trzeba naprawić wszelkie mniejsze uszkodzenia, powstałe na morzu i dające się usunąć bez "dockyardu." Jest nam ciężko, ale nie narzekamy, bo to dla dobra naszej sprawy. Jest nam ciężko ale wytrwamy na naszych stanowiskach i nie damy się. Sztandar honoru i wolności wysoko dzierżymy i dzierżyć będziemy nadal, tak jak nasi koledzy z Westerplatte, Helu, Gdyni i Oksywia.

Kilkanaście razy propaganda Goebbelsa nas już zatopiła no i jak dotychczas spokojnie wypełniamy nasze obowiązki. Widocznie Neptun jest dla nas tak łaskawy i Syreny jego tak nas kochają, że po zatopieniu wyprowadzają nas z powrotem na powierzchnię wód i doprowadzają okręt i nas do życia. Doprawdy cuda się dzieją i niech mi ktoś powie, że nie, to dam mu takiego kułaka, że się z rozumem nie połapie. Zresztą Niemcy same podały w swoim dzienniku, że załoga polskiego kontrtorpedowca nie chciała opuścić tonącego okrętu. Nie chciała, gdyż nie było po temu potrzeby, a zato dwa Dorniery posłaliśmy do "krainy wiecznych łowów." Zadrasnęli nas to prawda, zranili lekko jednego marynarza, który jest już z powrotem na swoim stanowisku i do pewnego stopnia jest bardzo zadowolony z tego zranienia. Będąc w szpitalu angielskim nie tylko, że przybrał na wadze, ale zdołał się jeszcze zakochać w angielskiej siostrze miłosierdzia. Z początku z pewną zazdrością nawet patrzyliśmy na jego długie listy, które zawsze otrzymuje, gdyż do listów zawsze tęsknimy a tym bardziej do długich i w dodatku od miłych kobiet.

Trzeba widzieć tych marynarzy, jak po skończonej wachcie siedzą z słownikami w ręku i układają listy miłosne do swoich wybranek serca, lub do przyjaciół. Układają je niekiedy całymi godzinami, by nie daj Boże, napisać szablonowy list. Zasadą jest, że każdy musi być odmienny i po napisaniu, a jakże, muszą iść po opinię do naszego "Papy Browaru."

"Papa Browar" jest to marynarz, przybyły z marynarki handlowej w czasie wojny. Od 12 roku życia rozbijał się po wszystkich morzach świata i zna prawie że wszystkie języki europejskie i jak byliśmy świadkami, nawet z Arabami się dogadał. Przezwisko "Papy Browaru" zdobył sobie z nadmiernego pociągu do piwa, od którego to ma brzuch solidnych już rozmiarów. Wychodząc na ląd zawsze znajdzie jakichś Norwegów, Holendrów, Greków, czy inne narodowości, które fundują, że niekiedy musi odmawiać, by nie przyjść na okręt zalany "w drobną pestkę," jak to Wiech powiadał. Jednym słowem jest on dobrym dyplomatą, przypomina pod pewnymi względami naszego "Zagłobę" z Sienkiewicza.

Listy pisane do naszych przyjaciół brytyjskich, pomagają nam dużo w nauce języka angielskiego. Są w nich niekiedy błędy ortograficzne, to prawda, ale i te błędy znajdują zrozumienie a szczególnie u kobiet, u których nasi chłopcy mają wielkie powodzenie. Jedna z Angielek przyznała mi się w sekrecie, że nigdy podobnych listów nie otrzymała od Anglików. Podobno pisane są z taką barwą i humorem, że nigdy nie może poprzestać na jednorazowym przeczytaniu, i że trudno jej uwierzyć, by to było pisane ze słownikiem w ręku.

Obcując z ludnością brytyjską, dochodzi niekiedy do zabawnych incydentów, z różnicy obyczajów między naszymi narodami. Byłem świadkiem, jak w jednym z portów Wielkiej Brytanii załoga naszego kontrtorpedowca, będąc zaproszona na herbatkę i zabawę, stawiła się gromadnie no i tańczyło się z ogniem. Jeden z marynarzy, po skończonym tańcu, pocałował swoją Miss w rękę. Miss ta, którą to widocznie pierwszy raz w życiu spotkało, spłonęła jak róża i wzrokiem zranionej sarny rozglądnęła się po sali czy tego przypadkiem ktoś nie widział. A że widzieli, schowała się w kąt. Lecz przy następnym tańcu podeszła do swego byłego partnera, prosząc go do tańca. Po skończonym tańcu, tak jak on poprzednio, wzięła jego rękę i zanim się domyślił o co chodzi, pocałowała go w rękę. Teraz on znów znieruchomiał ze zdumienia, tak jakby się przepaść przed nim otwarła. No, ale zabawa skończyła się wesoło z obopólnym zadowoleniem tak gospodarzy, jak i z naszej strony i tego wieczoru "Eros" nie skąpił swoich strzał miłosnych. Od czasu do czasu można było zobaczyć przy słabym świetle reflektorów przytulone do siebie pary i usłyszeć wyznania miłosne.

Niestety, o czym wspomniałem, jest tylko krótką chwilką, godziną spędzoną w porcie, a tych chwil jest mało, bo czas spędzamy na ciężkiej pracy, prowadzeniu konwojów i patrolach.

Prowadzenie konwojów należy do najprzykrzejszych zajęć, jakie sobie tylko wyobrazić można. A to ze względu na powolne wleczenie się a przez to długie jego trwanie, które trwa czasem siedem do dziesięciu dni. Po czterech lub pięciu dniach wyczerpują się świeże produkty, jak chleb, którego na kontrtorpedowcu z powodu braku miejsca wypiekać nie można. W tych wypadkach przechodzi się na suchary, które są twarde jak kamień. Niech w dodatku jest fala, co w jesieni, w zimie i na wiosnę jest często, tak że kucharze nie mogą nic gotować, to sądzę, że każdy ma na tyle wyobraźni, by odczuć co to jest.

Ale i to nie jest jeszcze takie przykre. Trzeba pamiętać, że kon-



wojowanie odbywa się przez tak zw. niebezpieczną strefę, t. zn. przez takie wody, gdzie nieprzyjaciela spodziewać się można. Łodzie podwodne tylko czyhają, by przez lukę między kontrtorpedowcami zaatakować którykolwiek ze statków lub jak w wielu wypadkach bywa, i same kontrtorpedowce. Ile to wymaga trudu obserwowanie powierzchni morza za peryskopem, który łódź tylko na chwilę wystawia, wsłuchiwanie się w szmery w aparacie podsłuchowym, który też ma swój ograniczony zasięg, lub też obserwowanie nieba za bombowcami. I to wszystko odbywa się przy akompaniamencie wichru i przelewających się przez pokład fal. Obsada na swoich stanowiskach bojowych wystawiona jest na zimne bryzgi fal, szarpanie wichru, no i silne kołysanie, od którego żołądek pod gardło podchodzi, i o którym ten tylko coś powiedzieć może, kto w czasie sztormu był na morzu. W czasie nalotu bombowego człowiek, który czepia się wszystkich stałych rzeczy, by utrzymać się na nogach i nie wypaść za burtę musi ładować działa i strzelać i to ze skutkiem.

A teraz rzućmy okiem na maszyny, gdzie praca odbywa się w niektórych częściach maszynowni przy temperaturze 60-65 stopni C., gdzie woda czasami wlewa się przez luki na gorące maszyny i wypełnia całą maszynownię parą. Dobrze jeszcze, gdy w dzień, można luki od zawietrznej strony pootwierać. Ale w nocy, gdy wszystko musi być szczelnie zamknięte by żadne światełko się na zewnątrz nie wydostało, gdy w dodatku woda zaleje wentylatory i unieruchomi je. Sądzę, że jest to sytuacja nie do zazdroszczenia.

Konwój, który w czasie dnia płynie w jakim takim szyku, w nocy, nie mając żadnego światła przewodniego, tylko kurs kompasowy traci swój szyk i rozchodzi się na wszystkie strony. Dopiero rano trzeba go znów do porządku doprowadzić i te zbłąkane owieczki do stada sprowadzić. Szukanie takie trwa długo i odbywa się w promieniu kilkudziesięciu mil i musi być prowadzone aż do skutku, gdyż ubytek jednego nawet statku jest dyshonorem dla marynarki wojennej.

Ileż razy trzeba iść na pomoc statkowi nadającemu sygnał S.O.S. i spuszczać na wodę szalupy, kiedy okrętem rzuca jak piłką, i ratować ludzi. Wielu marynarzy ginie właśnie przy takim ratowaniu, lecz na to zważać nie można, gdyż obowiązek wymaga ratować, ile można bez pytania czy to wróg czy przyjaciel.

Trzeba samemu na to patrzeć i to przeżyć, by zrozumieć ile kosztuje nerwów, gdy po cztero-godzinnej wachcie marynarz ułoży się w hamak lub jest w głębokiej hali maszynowej, czy w komorze amunicyjnej, i ni stąd ni zowąd odzywają się detonacje bomb hydrostatycznych, przez okręt przechodzą wstrząsy i tu nie wiadomo, czy to przypadkiem torpeda nie trafiła.

Oficerów i marynarzy łączy jedno wspólne niebezpieczeństwo, które tworzy z nich jedną wielką rodzinę, gdzie jeden drugiemu dopomaga. Szanują się na wzajem i niejednego oficera, podoficera i marynarza można zobaczyć ze łzami w oczach, gdy się żegnają, mając przydział na inny okręt. Laika to dziwi gdy widzi te twarze twarde, poorane wichrami i oczy zachodzące łzami, których ten oficer lub marynarz się wstydzi, lecz które cisną się bezwiednie.. Właśnie te wspólne przygody i niebezpieczeństwa powodują, że nie tylko się szanują, ale się i kochają. Oficer na okręcie jest nie tylko przełożonym ale i jakby starszym bratem, którego słuchać trzeba i dlatego każdy rozkaz jest sumiennie wypełniany. Oficer czy podoficer wie, że na marynarzu może polegać i w każdej chwili może na niego liczyć.

Marynarka nasza jest obecnie większa, niż kiedykolwiek była w historii polskiej i ciągle się powiększa i da Bóg wrócimy do Polski z flotą, tak wielką, jak nigdy.

Niestety nasze polskie społeczeństwo dalekie było i jest od zrozumienia marynarki i traktuje ją po większej części po macoszemu. Jest to wina potrosze i marynarzy, że tak mało piszą o sobie. Niestety nie mamy czasu po temu a zresztą nie można zbyt wiele mówić o sobie, gdyż było by to samochwalstwem, które jak wiadomo cuchnie. Sądzę, że po wojnie inni o nas będą mówić. My wypełniamy obecnie tylko swoje obowiązki mając przed oczami cierpienia naszych braci w kraju i naszą biało-czerwoną banderę z orłem, która nam dumnie codziennie powiewa, dla której będziemy żyć lub umierać, lecz nigdy bez niej.

Edward Skrzypek

Na innym miejscu znajdą czytelnicy omówienie najważniejszego wydarzenia ubiegłych dni—to jest wspólnej deklaracji anglo-amerykańskiej. Odnosi się wrażenie, jakbyśmy byli w przededniu oficjalnego przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, której cele zostały wyraźnie określone. W każdym razie deklaracja Churchilla i Roosevelta stwierdza fakt, że losy W. Brytanii i Stanów zostały nierozerwalnie złączone. Z takich lub innych powodów, Ameryka nie wysyła jeszcze swoich wojsk do Anglii lub Egiptu, ale stanęła już u boku W. Brytanii, rzucając na szalę wydarzeń świata cały swój olbrzymi potencjał gospodarczy.

Co się tyczy tego historycznego oświadczenia—to niech nam będzie wolno podkreślić, że do deklaracji ogólnej, dojdzie jeszcze szczegółowa, *a mianowicie stwierdzenie gwarancji bezpieczeństwa ludów europejskich i pokoju europejskiego.* Głównym warunkiem stałego pokoju w Europie *jest odbudowanie tego czynnika równowagi europejskiej, jaką była i jest Polska.* Wszystkie przesłanki, zarówno gospodarcze jak i polityczne, zarówno narodowościowe jak i wojskowe—stwierdzają, że silna i mająca zdolne do obrony granice Rzeczpospolita leży w żywotnym interesie antyniemieckiej koalicji. *Polska musi być nie tylko odbudowana, ale i zwiększona.* Teza ta nie jest bynajmniej "imperializmem." *Jest stwierdzeniem tej prawdy, że jakiekolwiek pominięcie żywotnych interesów Polski, sprowadziłoby na Europę prędzej czy później nowe wojny i nowe kataklizmy, któreby zniszczyły raz na zawsze przewagę rasy białej i jej kulturę.*

Silna Polska nie może być tworem, wynikłym tylko z pojęć etycznych, z dobrego serca wielkich państw świata: jest oną koniecznością historyczną, której przykładów dostarczają dzieje Europy, tak średniowiecznej jak i nowożytnej. Dobrze i solidnie zmontowany pomost między Zachodem i Wschodem—jest niezbędny i dla Zachodu i dla Wschodu, a każde naruszenie jego równowagi, musi spowodować co raz to większe, co raz to groźniejsze kataklizmy, już nie tylko europejskie, ale i światowe. W punktach Wilsona była mowa o wolnej Polsce, z własnym dostępem do morza. *W deklaracjach Roosevelta musi się znaleść ustęp o Polsce wolnej, wielkiej i silnej.* Naród nasz chce nie tylko żyć, ale i spełniać to posłannictwo dziejowe, z jakiego wywiązywał się, na pożytek Europy i wielkich zasad chrześcijaństwa — przez dziesięć wieków historii.

Bardzo charakterystyczne jest uznanie deklaracji Roosevelta i Churchilla przez Rosję, i stwierdzenie, że cele wojenne W. Brytanii i Ameryki są zgodne ze stanowiskiem ZSSR. Bezpośrednio po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej pisaliśmy, że "Rosja, wchodząc do koalicji narodów—musi z konieczności przyjąć, chociaż by częściowo, hasła tych narodów i cele ich wojny." Oświadczenie Moskwy, po deklaracji anglo-amerykańskiej, potwierdza tę tezę. Przemiana ustroju a w każdym razie przemiana systemu rządów w ZSSR—wydaje się nam pewna, jako logiczne następstwo ogromnego wstrząsu, wywołanego wojną i w dalszym ciągu warunkami wojny.

SPIS RZECZY.

Przegląd polityczny

Zbliżenie Rosji do wielkich demokracji zachodnich jest faktem, o ile chodzi o teren polityki międzynarodowej i sojusz wojskowy. Siłą rzeczy powinny nastąpić pewne zmiany ustrojowe, które będą następstwem i ścisłej współpracy Rosji z Wielką Brytanią oraz Ameryką, i naturalnym procesem dziejowym, jakiemu podlegała Rosja po każdej większej wojnie.

Od dalszego przebiegu wydarzeń wojennych będzie zależał rozwój tej przemiany, w jaką, zdaniem naszym, weszła Rosja w dniu 22 czerwca 1941.

W stadium nie ewolucji, ale rewolucyjnego wrzenia wchodzi Francja. Mowa Pétaina nie pozostawia pod tym względem żadnych wątpliwości. Marszałek stwierdza, iż przez kraj przechodzą prądy "niepokojące," które zmuszają rząd w Vichy do wprowadzenia w życie ustaw wyjątkowych, między innymi zawieszenia wolności zgromadzeń, prasy i w ogóle tych wszystkich wolności obywatelskich, jakie zdobywał sobie od XVIII wieku lud francuski. We Francji zostaje wprowadzona dyktatura, a faktycznym dyktatorem zostaje zastępca Pétaina i wice-premier, admirał Darlan.

W praktyce oznacza to najzupełniejszą kapitulację wobec Trzeciej Rzeszy. Hitler, którego gwiazda blednie w Rosji, odniósł dyplomatyczne zwycięstwo nad rządem w Vichy. Pétain, a raczej Darlan, gdyż starego marszałka nie można już brać w rachubę—staje się gauleiterem Francji, już nawet bez żadnych cech jakiejkolwiek samodzielności. Hitler, głosząc w braku innych, "olbrzymi sukces polityczny"—przygotowuje zjazd zwasalizowanych państw. Ma być to powtórzeniem napoleońskiego Drezna z okresu przed wyprawą na Moskwę. Ten pierwszy kongres "narodów kontynentalnych," opartych na nowym porządku niemieckim, ma odbyć się w Wenecji lub w Wiedniu.

Inaczej jednak na to wszystko zapatruje się lud francuski. Wspomnieliśmy, że kraj znajduje się w stanie wrzenia rewolucyjnego, że rząd w Vichy musi chwytać się drakońskich środków, aby zapobiec bardzo dramatycznym zajściom na terenie Francji. I oto na naszych oczach rozgrywa się jeszcze raz tragedia wielkiego narodu, który zboczył ze swojej właściwej linii politycznej.

Historia Francji, jak zresztą dzieje każdego narodu są wypisane na mapie. Tradycyjną i wynikającą z przesłanek zarówno geograficznych, jak i politycznych, kulturalnych, społecznych była we Francji polityka kardynała Richelieu. Wychodził on z założenia, że Francja, aby utrzymać swój poziom wielkiego mocarstwa, musi zwracać najbaczniejszą uwagę na linię Renu—i jej stosunek do Niemiec, wszystko jedno jakich, rozstrzyga o znaczeniu i roli państwa zarówno na granicy Pirenejów, jak i na granicy Alp lub Kanału La Manche. Rezygnacja z tej linii, rezygnacja z ambicji mocarstwowych wobec Niemiec—jest równoznaczna z utratą wszystkich wpływów w Europie i początkiem końca samej Francji.

Linii Richelieu'go przestrzegały wszystkie rządy wszystkich ustrojów francuskich. Niebezpieczeństwo od strony Renu spędzało z oczu sen zarówno królom jak i Dyrektoriatowi, zarówno cesarzom jak i prezydentom Trzeciej Republiki. W Paryżu zdawano sobie sprawę, że i granice włoskie, i granice posiadłości afrykańskich czy azjatyckich pozostają w najściślejszym związku z granicami północno-wschodnimi.

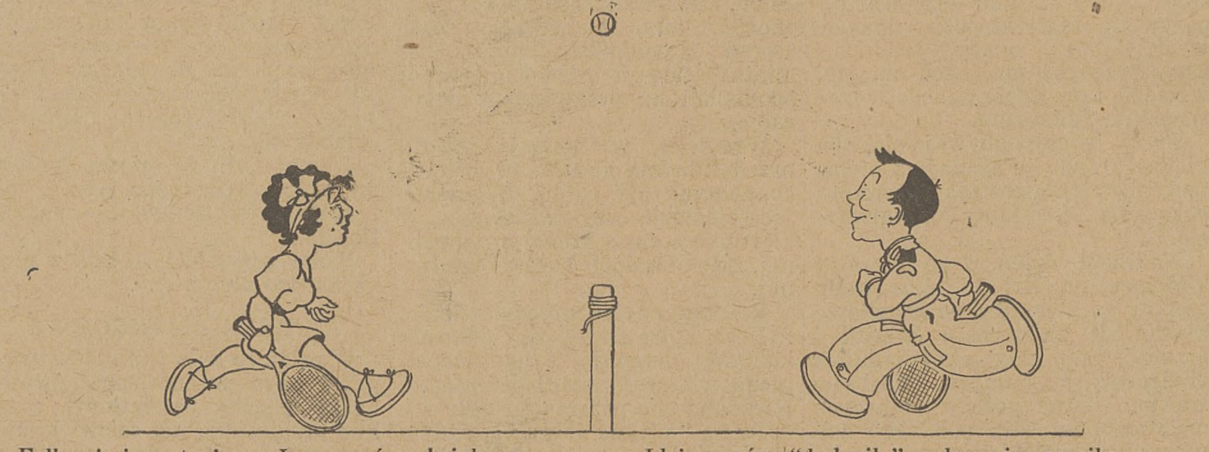
Rząd Pétaina, ratując starczy i skazany na powolną agonię ustrój ekonomiczny — przekreślił linię Richelieu'go, rozpoczynając nową politykę. Główną jej tezą miało być porozumienie z Niemcami, odwrót od Renu, odwrót od spraw europejskich—i zwrócenie całej uwagi na kolonie, "niewyczerpane źródło potęgi francuskiej." I w krótkim czasie okazało się, że polityka, sprzeczna z historycznymi i geograficznymi koniecznościami państwa—zaczęła się mścić. *Francja Pétaina traci nie tylko wszelką samodzielność w Europie, ale traci jedną po drugiej kolonię w Afryce i Azji.* Stracono Syrię, stracono Indochiny, a w tej chwili bardzo poważnie zagrożony jest i Tunis i w ogóle cała północna Afryka francuska. Niemcy i Włosi żądają oddania baz morskich na tym wybrzeżu, co jest równoznaczne z rezygnacją z Dakaru, Marokka i Algieru. Całe, z takim olbrzymim nakładem kosztów i energii budowane imperium rozpada się w gruzy. A na kontynencie europejskim staje się fikcją niezależność polityki francuskiej a co za tym idzie, niepodległość państwa.

Protestuje przeciwko temu instynkt wielkiego narodu francuskiego. Ogłuszenie, wywołane katastrofą czerwcową—mija. Ludzie, którzy nie cofnęli się przed najstraszniejszą walką—walką z własnymi braćmi na polach Syrii—zyskują popularność z każdym dniem. De Gaulle uważany jest za generała, który ocalił honor Francji i w ten sposób ocalił kraj od hańby. W tej chwili ma on dwa razy więcej ochotników, aniżeli przeszłego roku, co świadczy o budzeniu się poczucia patriotyzmu i godności narodowej wśród młodzieży francuskiej. Bardzo silne, antyniemieckie i wrogie Vichy prądy nurtują w całej Afryce francuskiej.

Objawy te witamy z radością. Francja była symbolem wolności. Była drugą ojczyzną każdego kulturalnego człowieka. Ten wielki naród jest potrzebny Europie, jest potrzebny Polsce. Bez Francji świat byłby ogromnie samotny i zimny. I dlatego nasze, polskie życzenia i sympatie towarzyszą tym, którzy oparli się zwątpieniu i podłości, którzy walczą i wierzą w lepszą przyszłość Europy i świata.

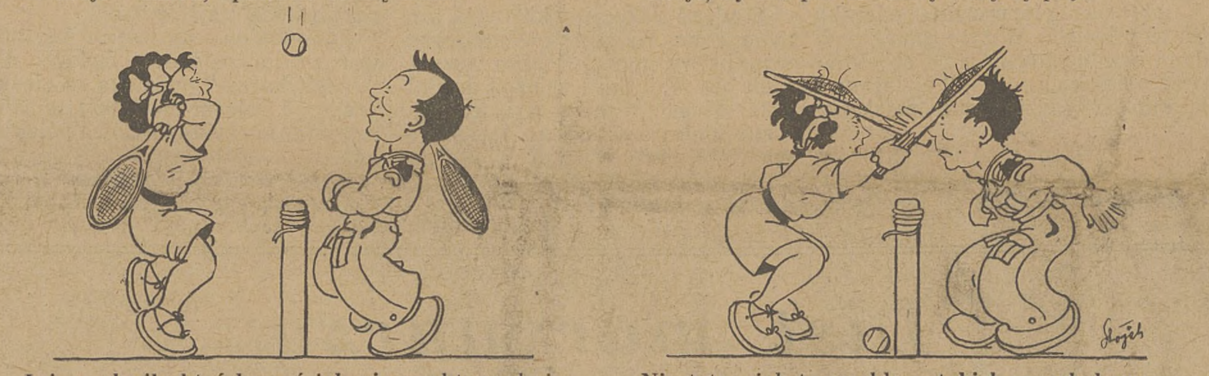
tk

Feluś Czarnobrygadzista jako sławny tenisista



Felkowi się w tenisa z Joan grać zachciało,
Że oboje "umieli," patrzcie co się stało:

Idzie z góry "balonik," pędzą więc co siły
Oboje, by nie puścić takiej "fajnej piły."



Już za chwilę ktoś komuś jak nic punkt wpakuje
/Każde z nich taki niecny zamiar w myśli knuje,
Zwycięskie laury już obojgu na przód pachną/
A więc lu—i na odlew jak się nie zamachną! . . .

Niestety—jak to zwykle w takich razach bywa—
Piłka oboje gapiów strasznie szpetnie kiwa
I na tym zakończyli niewczesne zawody,
Że im głowy ozdobił . . . okład z zimnej wody!

opowiedział i rysował Józef Stojek

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 44, Brook Street, W.1. Tel., MAYfair 6543.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.